NR 47 (1971) 24 LISTOPADA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



W obronie ludzi STARYCH

Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- STRASZENIE FASZYZMEM JUŻ NIE DZIAŁA
- ZWOLNIENIA W KRUKU

eprasa.pl 02de728a82

Fundacja Promocji Solidarności

SALA BHP

Mikołajkowy Weekend

Kiermasz i Koncert świąteczny

Kiermasz:

5, 6 grudnia
10:00–19:00
wstęp wolny

Koncert:

5 grudnia
18:00
bilety – 15 zł

Więcej szczegółów:

Wystąpi:

Zespół „Zakorzenieni”

Muzeum Sali BHP
ul. ks. J. Popiełuszki 6

eprasa.pl 02de728a82



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Ja tam taki młody to znowu nie jestem. A doroczną krótką listę młodzieżowych słów roku znam tylko dlatego, że ekscytują się tym od paru lat moje (w międzyczasie dorastające) dzieci. Zresztą zawsze w tonie lekko prześmiewczym uważając, że „przecież nikt młody tak już od dawna nie mówi”.

Ale to nieważne. Ważne jest, że w tym roku na krótkiej liście słów kandydatów do tego dziwnego tytułu znajdziecie słowo „unc”. Nie „kuc”, nie „buc”, tylko właśnie „unc”. Wiecie, co – a właściwie kto – to? Otóż „unc” oznacza osobę postrzeganą jako starszą, staroświecką albo nieznającą aktualnych trendów. Coś jak popularny jeszcze kilka lat temu „wujo” albo „wujcio”. Zresztą źródłosłów mamy tutaj ten sam, bo wujaszek to przecież po angielsku jest „uncle”.

Oczywiście niech rzuci kamieniem ten, kto w dzieciństwie albo wczesnej młodości nie nazywał swoich starych starymi, wapnem, wapniakami, zgredami, antykami, średniowieczem, próchnem, ramolami, tetrykami. Ewentualnie – i bardziej pieszczotliwie – grzybami albo piernikami. Jednak czas biegnie nieubłaganie. I niejeden z nas dokonał już pewnie w swoim życiu tego samego odkrycia, co dwóch ciężko skacowanych (na oko 20-letnich) młodzieńców, których podsłuchałem w jakiś sobotni poranek w tramwaju. A rozmawiali mniej więcej tak: „Stary, jak głowa?”. „No, źle, stary, źle”. „No, widzisz, nie ma się już tych szesnastu lat”.

Akurat wiek jest więc takim walcem, który jedzie i zrównuje w społeczeństwie wszystkich. „Tym byłem, kim ty jesteś. Tym będziesz, kim ja jestem” – wypisywano na tabliczkach przytwierdzanych do trumien w okresie baroku – epoki szczególnie mocno (z wielu przyczyn zafiksowanej na nieuchronności śmierci oraz przemijania).

W tym sensie wojna pokoleń – choć tak samo nieuchronna, jak (powiedzmy) walka klas w społeczeństwie – wydaje się jednak łatwiejsza do wspólnego przetrwania. Bogaci co do zasady mają większe szanse, że pozostaną bogaci, biedny zaś częstokroć z biedy nigdy nie wyjdzie. Ale przecież młodzi na pewno kiedyś będą starzy. Tak samo jak starzy kiedyś (też na pewno) byli młodzi. A to oznacza, że istniejące pomiędzy generacjami sprzeczności i współzawodnictwa o ograniczone zasoby znacznie łatwiej przezwyciężyć. Łatwiej da się budować schematy oparte na międzypokoleniowej solidarności. Tłumaczyć, że pracujący zrzucają się na emerytów, oczekując (słusznie) tego samego od kolejnych pokoleń. A silni i zdrowi nie dążą do eliminacji ze swojego miejsca pracy czy innej aktywności starszych oraz mniej dyspozycyjnych. Wiedząc, że ich kompetencje są kompatybilne albo komplementarne.

Wiek jest takim walcem, który jedzie i zrównuje w społeczeństwie wszystkich. „Tym byłem, kim ty jesteś. Tym będziesz, kim ja jestem”.

Wtedy nie trzeba rozstrzygać sporów nierozstrzygalnych. Czy potrzeby starych powinny być dowartościowane mocniej niż młodych? Kto powinien podejmować ostateczne decyzje? Albo czyja – juniorów czy seniorów – perspektywa jest bardziej uniwersalna?

Starcza słowo „solidarność”. I już wiadomo, o co nam chodzi.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

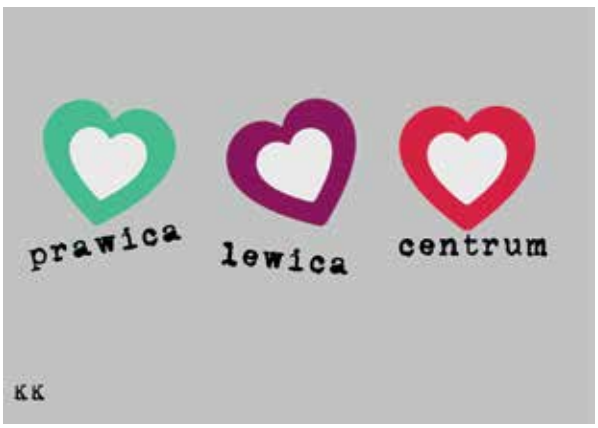

eprasa.pl 02de728a82

24.11.2026
WYDANIE Nr
47

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA



Ageizm po polsku

8 **Śmierć starego mędrca**

12 **Demografia kontra bunt pokoleniowy**

16 **Cancelowanie dziadersów**

20 **Dyskryminacja starszych związkowców**

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Hanna Szymerska, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Człowiek nie żyje dla siebie 22

KRAJ

Tajny plan na Trybunał 26
Człowiek o nadludzkich mocach 30
O przyszłości regionów, inwestycjach i warunkach pracy 34
Strzały, pytania, cisza 36

ZAGRANICA

Potrzebny jest Mannerheim 42

SPOŁECZEŃSTWO

Straszenie „faszyzmem” przestało działać? 46

KULTURA

Boy, czyli Francja w Polsce 50
Sebastian Reńca wyróżniony Nagrodą Literacką im. Józefa Mackiewicza 55

HISTORIA

Oskarżam...! 58

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA 62

ZWIĄZEK

Co w związku 66
Wsparcie „S” dla działań prezydenta 68
Zwolnienia w Kruku 70

FELIETONY:

OKRASKA 7
GAC 49

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 11
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 33
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 40
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 56
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 65
GŁOS REGIONU 72
PRAWO 73

eprasa.pl 02de728a82



WŁĄCZ SIĘ W AKCJĘ REFERENDALNĄ SOLIDARNOŚCI

- ✓ POBIERZ KARTĘ, SKANUJĄC KOD QR
- ✓ PODPISZ SIĘ
- ✓ ZBIERZ PODPISY WŚRÓD BLISKICH I ZNAJOMYCH
- ✓ WYŚLIJ WYPEŁNIONĄ KARTĘ Z PODPISAMI NA ADRES:

KOMISJA KRAJOWA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”
UL. PROSTA 30, 00-838 WARSZAWA

NSZZ SOLIDARNOŚĆ

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl 02de728a82

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu" i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie"

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność": ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 02de728a82

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Oddolne jest niewygodne

Całe dzieje III Rzeczypospolitej upłynęły pod znakiem wywodów o „społeczeństwie obywatelskim” i „organizacjach pozarządowych”. Miało to być największe dobro: aktywni obywatele zaangażowani w sprawy społeczne.

Wizja przeszczepiona z Zachodu miała się nijak do polskich realiów. Przez lata lamentowano, że Polacy są bierni, bo nie zapisali się do „organizacji pozarządowej”, a „na Zachodzie” każdy należy średnio do dwóch i pół. Długie lata zajęło, zanim w badaniach częściowo ujęto inicjatywy oczywiste na naszym gruncie. Grupy parafialne, koła gospodyń wiejskich, strażaków-ochotników i nieformalne „pospolite ruszenia” na prowincji.

Do organizacji popłynęły tłuste dotacje. Szybko sprawiły, że powstała zawodowa kasta „pozarządowców” żyjących zazwyczaj z pieniędzy rządowych. Zresztą odwdzięczających się liberałom rozmaitymi „apelami” i „stanowiskami”. Podkopało to wiele autentycznych inicjatyw. Na tle zawodowców wypadały blado – bez etatów, biur, sporych środków itp.

„Pozarządowcy” pomogli też liberałom rozmontować państwo. Wiele funkcji socjalnych czy pomocowych przeniesiono do takich podmiotów. Trafia do nich publiczna forsa za „zadania zlecone”. Nie ma tam związków zawodowych, stabilnego zatrudnienia, a nierzadko nawet umów o pracę. Rząd i samorządy się cieszą, bo „tną koszty”. Jest taniej – kosztem ludzi.

Do tego doszło sprofilowanie ideologiczne. Za rządów liberałów nie miało szans na dotacje niemal nic, co posiada inne cele i wartości. Choćby było oddolne, spontaniczne i oczekiwane społecznie. Wartości ważne dla wielu obywateli nie były dofinansowane ze środków polskich czy unijnych.

Gdy coś zrobili „narodowcy”, „kibole”, „mohery” – nie chwalono oddolnej aktywności. Nie chodziło tylko o prawicowość. Bardzo bolały liberałów np. związki zawodowe – finansowane z dobrowolnych składek pracowników. Gdy lokatorzy organizowali się przeciw mafii reprywatyzacyjnej, nie było zachwytów elity nad takim „aktywizmem”.

Za rządów PiS obrodziło opozycyjnymi „mediami obywatelskimi”. Część działała za forsę bogatych liberalnych podmiotów, ale niektóre za darowizny od osób prywatnych. Zachwycano się tym co niemiara. Że to „nowa jakość”. Tadeusz Rydzyk zrobił to samo, ale ćwierć wieku wcześniej. Wtedy było to „żerowanie na staruszkach”. Co innego, gdy młodzi czy starzy płacą na „medium obywatelskie”.

Nieliberalne oddolne inicjatywy pokazują, że nie ma monopolu. Że można działać bez uznaniowych dotacji. Że bez znaczonych pieniędzy można stworzyć zaplecze organizacyjne. A kto ma własne środki i struktury, ten jest niezależny. I potencjalnie groźny. Bo nie ma nad nim kontroli.

Może zorganizować protest przeciwko elitarnym uzurpacjom. Manifestację w sprawie ważnej dla ludzi lekceważonych przez rządzących. Zrobić coś, co stanie ością w gardle liberalnej elicie.

Prawdziwym społeczeństwem obywatelskim nie można sterować ani zastraszyć go utratą dotacji. W dodatku przetrwa rozmaite problemy, bo ludzie działają tam dla sprawy. Natomiast to, co oficjalnie uchodzi za społeczeństwo obywatelskie, jest zazwyczaj atrapą. Gdy straci odgórną forsę – zniknie lub znacznie zmaleje.

eprasa.pl 02de728a82

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

ŚMIERĆ starego mędrca

Jakiś czas temu siwy człowiek mógł być największym autorytetem w całej wspólnocie. Dziś starość kojarzy się przede wszystkim z niedołężnością, nieprzydatnością i koniecznością zapewnienia opieki. To jedna z najbardziej **zdumiewających degradacji**, jakie dokonały się w historii ludzkich społeczeństw.

Ludwik Pęzioł



Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 02de728a82

Historia pokazuje wyraźny i niemal nieprzerwany zmierzch autorytetu starości. Można wręcz powiedzieć, że im bardziej pierwotna forma organizacji społecznej, tym większą rolę odgrywał w niej człowiek stary. Decydował o tym przede wszystkim kapitał wiedzy, którym dysponował. Dla wspólnoty był to zasób niezwykle cenny, niekiedy wręcz przesądzający o jej przetrwaniu. Starcy byli również depozytariuszami pamięci zbiorowej, strażnikami tożsamości, a często także ludźmi dysponującymi zgromadzonym przez lata majątkiem i kontaktami, a przez to wpływowymi. Oczywiście nie była to reguła bez wyjątków. Także w dawnych czasach, choćby w środowiskach wiejskich, zdarzało się lekceważące traktowanie starców, zwłaszcza tych niedołężnych, którzy prędzej czy później musieli ustąpić miejsca w gospodarstwie sprawniejszemu synowi lub zięciowi. Nie zmienia to jednak ogólnej prawidłowości: wraz z rozwojem społeczeństw pozycja ludzi starych stopniowo słabła.

Starzec Cambpella

Już w najstarszych ludzkich kulturach znaczenie starca dla przeżycia wspólnoty musiało znaleźć odzwierciedlenie w przekazywanych opowieściach. Narodził się archetyp sędziwego mędrca, który na dobre zadomowił się w mitach, legendach i bajkach. Joseph Campbell, opisując schemat mitologicznej podróży bohatera, wyróżnia jeden z jej etapów jako spotkanie z mentorem. Dochodzi do niego zwykle w pierwszym akcie opowieści, gdy bohater szykuje się do wyprawy, której stawką jest ocalenie świata i przywrócenie zachwianego życiodajnego porządku. Mentor przekazuje mu coś, bez czego misja nie może się powieść: wiedzę, wskazówkę, magiczny przedmiot, nadzwyczajną moc albo broń potrzebną do pokonania potężnego zła. Przybiera przy tym rozmaite postacie: może być nadprzyrodzonym głosem, fantastyczną istotą, a nawet zwierzęciem. Najczęściej jednak jego rolę odgrywa stary człowiek, i nie jest to przypadek, bo to właśnie on najlepiej odzwierciedla ówczesne realia; a jego kapitał wiedzy i doświadczenia, gromadzony przez całe życie, zamienia się w opowieści w magiczne czy wręcz święte artefakty. Te wszystkie opowieści były tak mocno kultywowane (a niekiedy nadawano im status sakralny), gdyż stanowiły zakamuflowane instrukcje przetrwania dla całych społeczeństw. Nimb otaczający starca pomagał chronić i uwznioślić wiedzę, od której zależał los wspólnoty.

Jak już jednak wspomnieliśmy, autorytet starości z biegiem wieków słabł. Pierwsze wyraźne zachwianie przyniósł renesansowy kult zmysłowości, a co za tym idzie – młodych ciał. I choć starcy wciąż trzymali się mocno, musieli już taktycznie ustąpić im nieco miejsca. Oświeceniowy bunt przeciw dawnym porządkom był już w dużej mierze odrzuceniem reguł strzeżonych przez starego mędrca jako „nienaukowych" i „uciskających". Rewolucja przemysłowa zadała mu kolejny cios: starość zaczęto postrzegać jako nieproduktywną i ekonomicznie nieprzydatną.

To ostatnie przekonanie towarzyszy wielu aż do dzisiaj. I nie jest to trudne do zrozumienia. Jeśli najważniejsze stają się produkcja i konsumpcja, słaby, zubożały starzec nie przedstawia sobą większej wartości. Zaczyna być postrzegany jako obciążenie, emeryt, który przestał być potrzebny. Sama nazwa „emerytura" kryje jednak pewien paradoks. Jej źródłosłów wiąże się z łacińskim „emeritus", czyli kimś zasłużonym, kto wysłużył sobie odpoczynek. A więc kimś, kto może być wzorem dla innych: ciężko pracował przez całe życie i właśnie dlatego zasługuje na szacunek i naśladowanie. Technologiczny postęp i zmiana charakteru pracy stopniowo podważyły jednak także ten argument. Okazało się bowiem, że starzec, a nawet człowiek w średnim wieku, może posługiwać się strategiami przetrwania, które przestały pasować do nowych warunków. Jego doświadczenie nie tylko traci na wartości, ale bywa wręcz uznawane za przeszkodę.

> Rewolucja przemysłowa sprawiła, że starość zaczęto postrzegać jako **nieproduktywną** i ekonomicznie nieprzydatną.

Mądrość życiowa nie istnieje

Współczesność (post)liberalna próbuje dziś dokończyć „dzieła zniszczenia", kradnąc starcowi dary, których udzielał bohaterowi mitycznych opowieści. Stary mentor utracił coś, co wydawało się jego najbardziej wyjątkowym dobrem: życiową mądrość zdobywaną przez lata doświadczeń. Stało się tak dlatego, że współczesność zakwestionowała samo pojęcie mądrości rozumianej jako zdolność rozpoznawania uniwersalnych reguł rządzących rzeczywistością. Wiąże się to z przekonaniem, że nie wolno już nikomu „narzucać" własnych poglądów, a uniwersalizowanie czy absolutyzowanie własnych przekonań na temat świata właśnie z tym się kojarzy.

Podszyta relatywizmem demokracja liberalna nie może na to pozwolić i straszy nas tym, do czego ma rzekomo prowadzić takie myślenie. Postmodernizm zapragnął rozmontować wielkie narracje, które mogłyby prowadzić całe społeczeństwa jedną drogą, grożącą krwawym zderzeniem z innymi wizjami świata. Problem w tym, że mądrość jest właśnie tym, co nadaje takim opowieściom szczególną rangę. Z tej perspektywy staje się więc

eprasa.pl 02de728a82

podejrzana, bo może prowadzić do opresji, zniewolenia, a nawet zagłady. Czy będzie ją symbolizować Auschwitz, czy Gułag, staje się już sprawą drugorzędną. I dlatego starcowi trzeba odebrać jego wzniosłą rolę.

Ale czy oznacza to jednak zupełne wymazanie mentora?

Zamiast starości

Otóż nie. Funkcje starca z monomitu Cambpella po prostu przejmuje ktoś inny. O jego rolę konkurują dziś (często zresztą działając w tandemie) rynek i algorytm. To właśnie obycie z nimi ma pozwalać przetrwać we współczesnym świecie. Odrzucenie mądrości jako narzuconego, „opresyjnego" zbioru poglądów jest więc tylko pozorne. Mądrością staje się po prostu wiedza o tym, co lepiej się sprzedaje i co przyciąga większą uwagę (przy czym to drugie jest zwykle warunkiem pierwszego).

I właśnie takiej „nadprzyrodzonej" wiedzy najbardziej łaknie dzisiejszy bohater. W pogoni za nią jest gotów wdrapać się na najwyższy szczyt i zawitać do odległej jaskini, w której niegdyś medytował oświecony starzec. I podobnie jak wcześniej: „mądrość" dotycząca tego, co zrobią rynek i algorytm, często obrasta zresztą w cechy magiczne. Kto nie wierzy, niech porozmawia z twórcami internetowymi, którzy w poszukiwaniu ukrytych zależności i prostych wytrychów do sukcesu zaczynają myśleć magicznie i przesądnie; szukają tajemnych zaklęć, którymi uda im się skłonić nieodgadniony algorytm do posłuszeństwa, a ich działania już na pierwszy rzut oka wyglądają na irracjonalne. Współczesny mit czy baśń wyglądałyby więc tak: nasz bohater przed wyruszeniem w podróż zamiast spotkać posiwiałego mistrza czy wędrownego czarodzieja, otrzymuje wskazówki od rzutkiego handlarza czy jakiegoś symbolicznego przedstawienia algorytmu. Różnica polega na tym, że nie wyrusza już ratować zagrożonej wspólnoty, lecz samego siebie. Jego celem jest indywidualny sukces.

Różnic jest zresztą więcej. Starość ma bowiem tę właściwość, że stara się łączyć wiedzę z różnych dziedzin życia i układać ją w harmonijną całość. Nawet w psychologii rozwojowej synteza doświadczenia życiowego przedstawiana jest jako zadanie rozwojowe starczego okresu życia. I dopiero na podstawie tej właśnie syntezy stary mentor może zaoferować bohaterowi swój dar. Nie podsunie śmiałkowi broni, która wprawdzie pozwoli mu pokonać zło, ale później obróci się przeciwko niemu samemu.

Rynek i algorytm patrzą natomiast tylko na jedną stronę równania. Są efemeryczne, skupione na tym, co przyniesie jutro, a właściwie nawet najbliższa chwila. Liczy się szybka kapitalizacja. Nie ma tu miejsca na troskę o życiową homeostazę. I to jest niewątpliwie ułomność współczesnych mentorów względem doświadczonych starców.

Zmartwychwstanie mędrca?

Można więc zapytać, czy możliwe jest jeszcze jakieś „odbicie"? Jeśli nie powrót starości do jej złotego wieku, to przynajmniej zelżenie pogardy, z jaką się dziś spotyka? Jak dotąd historia nie dostarcza zbyt wielu przykładów podobnego odwrócenia. Jeśli jednak przyjrzymy się sprawie bliżej, okaże się, że starość nigdy nie została całkowicie pogrzebana. Być może zaufanie do doświadczenia i mądrości starszych ludzi jest bowiem zakorzenione znacznie głębiej, niż chcieliby tego współcześni wyznawcy kultu młodości. Być może nawet na poziomie biologicznym.

> Być może zaufanie do mądrości starszych ludzi jest zakorzenione nawet na poziomie **biologicznym**.

Nie jest to zresztą trudne do zrozumienia z ewolucyjnego punktu widzenia. Przez tysiąclecia starsi członkowie wspólnoty pamiętali, gdzie szukać wody w czasie suszy, jak rozpoznać nadciągające zagrożenie, kiedy siać i zbierać plony, jak leczyć choroby i unikać błędów, które wcześniej kosztowały innych życie. Z perspektywy ewolucyjnej starszy człowiek mógł więc zwiększać możliwości adaptacyjne kolejnych pokoleń, a jego biologiczna użyteczność nie kończyła się więc wraz z utratą sił.

Być może właśnie dlatego pewne skojarzenia tak trudno wykorzenić. Siwizna eksperta występującego na internetowym kanale, starsza twarz komentatora zapraszanego do telewizji czy charakterystyczna powaga człowieka, który zdaje się widzieć więcej niż inni: wszystko to wciąż może działać na korzyść tych, którzy próbują tłumaczyć nam świat. Co ciekawe, niektórzy twórcy internetowi, chcąc zdobyć masową publiczność w roli „interpretatorów rzeczywistości", celowo dodają sobie powagi odpowiednim ubiorem, fryzurą czy sposobem bycia. Wiedzą, że oznaki dojrzałości mogą budować wiarygodność, nawet jeśli sami nie mają jeszcze wieku ani doświadczenia, które zwykle powinny za nimi stać.

Jeśli rzeczywiście tak jest, starzec będzie jeszcze długo umierał, ale nigdy nie umrze do końca. Być może pod warstwą współczesnej pogardy wciąż kryje się stara, ewolucyjnie ugruntowana potrzeba znalezienia kogoś, kto wie więcej, widział więcej i potrafi ostrzec nas przed błędami, których sami jeszcze nie popełniliśmy.

eprasa.pl 02de728a82

KARUZELA BLOGERAMI

ROSEMANN

GŁĘBIA SPOJRZENIA PANI KORWIN

Kiedy ekipie Donalda Tuska udało się prze- jąć kontrolę nad Trybunałem Konstytucyjnym, wielu zadawało sobie pewnie pytanie, skąd się wzięła nowa „twarz" sądu konstytucyjnego i czemu akurat ona się wzięła. Naiwni mogą powtarzać, że przecież była „sędzią o najdłuższym stażu", ale mam poważne podejrzenie, że gdyby nim nie była, wzięto by przy wskazaniu „pełniącego obowiązki" pod uwagę płomienny kolor jej włosów, a gdyby był też w gronie potencjalnych kandydatów na „po" ktoś bardziej rudy niż ona, zadecydować by mogła głębia jej spojrzenia.

Nie wiem, czy tylko dla mnie wtedy dość zastanawiająca była sytuacja, gdy Trybunał przejmowała jakaś tam pani Anna, mając u boku powszechnie kojarzonego pana Markiewicza i znanego z tego, że został wysłany do Trybunału, by go „posprzątać", pana Berka.

A potem zaczęliśmy panią Annę poznawać lepiej. Najpierw okazało się, że nie bez przyczyny miała u boku Berka i Markiewicza. Aż się brutalnie narzuca dowcipne pytanie z czasów PRL o to, czemu milicjanci zwykli chodzić trójkami. Ciekawe, kto z tej trójki odpowiadał za czyszczenie metadanych?

Następnie dowiedzieliśmy się, za sprawą ósemki wybitnych prawników, że jeśli nam się zdawało, że wiemy to i owo o działaniach na liczbach, to się nam tylko zdawało. Sławne „zgromadzenie ogólne" przypomniało mi opisane przez Michaiła Hellera w książce „Siódmy sekretarz" kulisy powołania Gorbaczowa na stanowisko genseka partii komunistycznej. W pierwszym głosowaniu udział wzięło siedmiu członków Biura Politycznego i... głosy rozłożyły się po równo. Takie radzieckie, wczesne dwie trzecie z piętnastu.

Niedługo później, gdy zaczęto grzebać, by dowiedzieć się, kto zacz owa pani Ania, okazało się, że to naprawdę bardzo kreatywna przedstawicielka palestry. Miała ona publicznie ogłosić, że wraz ze złożeniem ślubowania przed kolumnadą czy tam panem Włodkiem wygasła jej funkcja w macierzystym sądzie, po czym nadal tę funkcję przy jakiejś okazji wypełniała w najlepsze.

Z czasów, gdy wypełniała tę funkcję w jeszcze niewygaszonym stadium, dała się też poznać z tego, że potrafiła doszlifowywać i wygładzać stosownie do potrzeb chwili opinie i uwagi swoich podwładnych, gdy były one dość szorstkie w stosunku do władzy, z którą swój los pani Anna postanowiła związać niczym Kmicic z Radziwiłłami.

A kiedy pani Anna sama zaczęła bywać w telewizjach oraz wydawać polecenia i stanowiska na piśmie, jasnym się stało, czemu w trójce z Berkiem i Markiewiczem jej akurat przypadła rola pilnującej tych „dwóch niebezpiecznych intelektualistów".

Dlaczego zatem to ją wyznaczono, by pełniła te wszystkie obowiązki? Pozwolę sobie przypuścić, że stało się to dokładnie z tego samego powodu, jaki studenci okupujący mieszkanie baronowej Krzeszowskiej przedstawili jej służącej, by uspokoić jej obawy przed utratą pracy, gdy się wydało, że to właśnie służąca zniszczyła pamiątkową lalkę.

Jeśli, Szanowny Czytelniku, rozbawił Cię powyższy tekst, puknij się bardzo mocno w głowę. On przecież dotyczy osoby, którą ktoś, być może prawem kaduka, uczynił jedną z ważniejszych strażniczek naszej konstytucji! S

eprasa.pl 02de728a82

Demografia kontra bunt pokoleniowy

Niebezpiecznie tak wysoko latać, Panie Mochnacki – miał powiedzieć książę Ksawery Drucki-Lubecki do Maurycego Mochnackiego w powstańczej Warszawie w listopadzie 1830 r. Stary dygnitarz przestrzegał wtedy młodego publicystę przed skutkami nadmiernego radykalizmu i źle przygotowanego zrywu – ale słowa te możemy chyba potraktować jako symbol **wiecznego jak świat** konfliktu pokoleń.

Antoni Opaliński

Młodzi chcieli iść dalej i „świat poprawiać", starzy przestrzegali, by nie zniszczyć tego, co udało się osiągnąć. Tak przynajmniej uczy historia. Tylko czy ta zasada wciąż obowiązuje w Polsce w trzeciej dekadzie XXI wieku? Czy młode pokolenie Polaków ma jeszcze siłę i chęć, aby przejąć odpowiedzialność za sprawy publiczne i „wysoko latać"?

Jedno wydaje się oczywiste i wynika nie tylko z sondaży, ale też z wielu rozmów i obserwacji. Spora część młodego pokolenia przestała akceptować polityczne ramy stworzone przez poprzednie pokolenia. Wydaje się, że większość generacji urodzonej w XXI wieku nie chce już wybierać wyłącznie między Platformą Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością, szukają nowych odpowiedzi i nowych liderów. Tylko że ten naturalny schemat zmiany może zostać naruszony przez demografię. Młodych Polaków jest coraz mniej, a starszych wyborców coraz więcej. Czy zatem pokoleniowa rewolucja jest w ogóle możliwa? Czy młodzi zdołają przejąć władzę, czy też zostaną przegłosowani przez własnych rodziców i dziadków?

Pokolenie, które chce zmiany

Hiszpański filozof José Ortega y Gasset uważał, że historia jest w istocie historią następujących po sobie pokoleń. Każde z nich przychodzi na świat w innych okolicznościach, zdobywa odmienne doświadczenia i inaczej patrzy na rzeczywistość. W pewnym momencie młodzi zaczynają kwestionować świat urządzony przez starszych. Rodzi się konflikt pokoleń, który staje się jednym z motorów historii.

Generacje polskiej historii

Ostatnie dwa stulecia polskiej historii również przebiegały w rytmie zmiany i konfliktu pokoleń. Pokolenie Sejmu Wielkiego i następujące zaraz po nim pokolenie epoki napoleońskiej – generacje, które przeżyły dramat utraty państwa i doczekały niesuwerennego, ale jednak polskiego królestwa kongresowego. I pokolenie romantyków, które tę niesuwerenną formę państwa odrzuciły. Kolejne powstania doprowadziły do rozczarowanej walką generacji Stanisława Wokulskiego – lecz w cieniu klęski szło już kolejne pokolenie, rówieśnicy Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego.

I tak można by to wyliczenie kontynuować przez cały wiek XX – ale wymieńmy już tylko wspa-



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 02de728a82

niałe pokolenie ludzi urodzonych w latach dwudziestych, których talenty i aspiracje starł kataklizm drugiej wojny światowej, i pokolenie Solidarności, które zakwestionowało PRL.

A potem przyszła III RP. Wiodące ośrodki władzy medialnej zrobiły bardzo wiele, by wmówić Polakom, że liczy się tylko indywidualny sukces, że nie ma żadnej wspólnoty – ani narodowej, ani pokoleniowej. Wbrew tej zatrutej narracji głosił swoje „narodowe katechezy" Jan Paweł II – stąd powstała opowieść o „pokoleniu JPII"...

MŁODYCH POLAKÓW JEST CORAZ MNIEJ, A STARSZYCH WYBORCÓW CORAZ WIĘCEJ. CZY ZATEM POKOLENIOWA REWOLUCJA JEST W OGÓLE MOŻLIWA?



A dzisiejsi młodzi?

Nie pamiętają komunizmu. Nie przeżyli stanu wojennego. Dla większości z nich Okrągły Stół jest wydarzeniem z podręcznika historii, a nie osobistym doświadczeniem. Spory o Lecha Wałęsę, Jarosława Kaczyńskiego, Donalda Tuska nie mają dla nich takiego znaczenia jak dla starszych wyborców.

Młodzi mają własne problemy. Nie stać ich na mieszkania, obawiają się niestabilnego zatrudnienia, rosnących kosztów życia i niepewnej przyszłości. Coraz częściej odnoszą wrażenie, że państwo jest urządzone przede wszystkim dla tych, którzy już mają mieszkania, stabilne dochody i zgromadzony majątek. Czy z tego niezadowolenia może narodzić się nowa siła polityczna?

Mentzen i Zandberg – dwa oblicza młodzieżowego buntu

Wybory prezydenckie w 2025 roku pokazały, że młode pokolenie nie jest politycznie obojętne. Przeciwnie – może być gotowe do zasadniczego zakwestionowania dotychczasowego układu partyjnego. W pierwszej turze wyborów wśród osób w wieku 18–29 lat Sławomir Mentzen uzyskał według badania exit poll Ipsos 36,1% głosów, a Adrian Zandberg 19,7%. Rafał Trzaskowski zdobył 12,2%, a Karol Nawrocki 10,5%.

To wynik, nad którym warto się zastanowić. Ponad połowa najmłodszych głosujących wybrała dwóch kandydatów reprezentujących zupełnie odmienne wizje Polski, ale pozostających poza głównym konfliktem między PiS a Koalicją Obywatelską. Mentzen proponował ograniczenie roli państwa w gospodarce, niższe podatki i konserwatyzm obyczajowy. Zandberg opowiadał się za silniejszym państwem socjalnym, rozbudową usług publicznych i bardziej egalitarnym modelem społeczeństwa. Trudno wyobrazić sobie bardziej odmienne programy. A jednak obaj znaleźli znaczące poparcie wśród młodych. Jeszcze ciekawszy jest podział między młodymi kobietami i mężczyznami. Wśród młodych mężczyzn szczególnie silne okazało się poparcie dla Mentzena. Młode kobiety znacznie częściej niż mężczyźni skłaniały się ku ugrupowaniom centrowym i lewicowym. Mamy więc do czynienia z paradoksem: pokolenie, które łączą podobny wiek, cyfrowa kultura i wspólne doświadczenia gospodarcze, coraz wyraźniej dzieli się politycznie. Młodzi chcą zmiany. Problem w tym, że nie chcą tej samej zmiany.

Wybory prezydenckie 2025 – duopol i (jednak) zmiana pokoleniowa

Druga tura wyborów prezydenckich w 2025 roku przyniosła jeszcze jedną ważną obserwację. Według exit poll Ipsos w grupie 18–29 lat Karol Nawrocki uzyskał 51,9% głosów, a Rafał Trzaskowski 48,1%.

eprasa.pl 02de728a82

Najmłodsi wyborcy podzielili się więc niemal po połowie.

Wbrew uproszczonemu obrazowi młodzieży jako naturalnego zaplecza liberalnej opozycji wobec prawicy młodzi nie opowiedzieli się jednoznacznie po żadnej ze stron. Ich preferencje okazały się bardziej skomplikowane.

Warto jednak zwrócić uwagę na coś jeszcze. W pierwszej turze wielu młodych wybierało kandydatów spoza dwóch największych obozów. W drugiej musieli zdecydować między kandydatami reprezentującymi właśnie te obozy.

Ostatecznie polityczny wybór młodzieży został więc w znacznej mierze sprowadzony do konfliktu, który od lat organizuje polską scenę polityczną. Warto przy tym zauważyć, że to Karol Nawrocki, mimo że wystawiony przez jedną z dwóch głównych partii, był kandydatem „spoza systemu". Histeryczna furia, którą wzbudzała zarówno jego kandydatura, jak i aktualna prezydentura, pokazuje, że jego wygrana była czymś więcej, niż tylko zwycięstwem „kandydata Kaczyńskiego" nad „kandydatem Tuska". Czy będzie kiedyś symbolem realnej i definitywnej zmiany pokoleniowej? – czas pokaże.

Demografia nie sprzyja rewolucjonistom

Jest jednak problem poważniejszy niż polityczne podziały wśród młodzieży. To demografia.

Polska staje się społeczeństwem coraz starszym. Rodzi się coraz mniej dzieci, kolejne roczniki wchodzące w dorosłość są mniej liczne, a liczba emerytów rośnie.

W 1990 roku dzieci i młodzież do 17. roku życia stanowiły około 29% ludności Polski. Pod koniec 2025 roku było to już tylko 17,7%. Jednocześnie udział osób w wieku poprodukcyjnym wzrósł z 12,9% do 24,3%. To ogromna zmiana struktury społecznej.

Według prognoz Głównego Urzędu Statystycznego w 2060 roku osoby w wieku co najmniej 65 lat mogą stanowić około 30% ludności Polski. W eksperymentalnym scenariuszu utrzymywania się bardzo niskiej dzietności liczba mieszkańców kraju może spaść do około 28,4 miliona.

Polska przyszłości będzie zatem krajem, w którym młodzi staną się demograficzną mniejszością jeszcze wyraźniej niż obecnie.

I tu pojawia się zasadnicze pytanie: jak zrobić rewolucję polityczną w demokracji, jeśli nie ma się wystarczającej liczby głosów?

Wyobraźmy sobie, że młodzi stanowią 15% wszystkich głosujących. Nawet gdyby 70% z nich poparło jedną partię, dałoby jej to zaledwie 10,5% głosów w skali kraju, gdyby nie uzyskała żadnego poparcia wśród starszych wyborców. To oczywiście uproszczony przykład, ale pokazuje skalę problemu. W demokracji liczy się nie tylko siła przekonań, lecz także liczba wyborców. Można mieć radykalny program, ogromną popularność w internecie, miliony wyświetleń i entuzjastycznych zwolenników. Jeśli jednak większość elektoratu stanowią ludzie starsi, bez ich poparcia trudno zdobyć władzę.

MŁODZI MAJĄ WŁASNE PROBLEMY. NIE STAĆ ICH NA MIESZKANIA, OBAWIAJĄ SIĘ NIESTABILNEGO ZATRUDNIENIA, ROSNĄCYCH KOSZTÓW ŻYCIA I NIEPEWNEJ PRZYSZŁOŚCI.

JEŚLI MŁODZI CHCĄ ZMIENIĆ PAŃSTWO, BĘDĄ MUSIELI ZNALEŹĆ SPOSÓB NA PRZEKROCZENIE GRANIC WŁASNEGO POKOLENIA.

Polska jako demokracja emerytów?

Starzenie się społeczeństwa może zmienić logikę politycznej rywalizacji.

Partie zabiegają o głosy tych grup, które są liczne i regularnie uczestniczą w wyborach. W starzejącym się społeczeństwie coraz większe znaczenie mogą mieć zatem potrzeby emerytów i osób zbliżających się do wieku emerytalnego. Nie ma w tym nic dziwnego. Starsi wyborcy mają swoje uzasadnione interesy: wysokość emerytur, dostępność opieki zdrowotnej, bezpieczeństwo socjalne i stabilność państwa. Problem pojawia się wtedy, gdy interesy poszczególnych pokoleń zaczynają ze sobą konkurować.

Czy państwo powinno przeznaczać więcej pieniędzy na świadczenia emerytalne, czy na mieszkania dla

eprasa.pl 02de728a82

młodych? Czy priorytetem powinno być utrzymanie obecnego systemu zabezpieczenia społecznego, czy inwestowanie w edukację, innowacje i rozwój gospodarczy? Jak podzielić koszty utrzymania starzejącego się społeczeństwa? Może się bowiem okazać, że młode pokolenie będzie ponosiło długofalowe konsekwencje decyzji podejmowanych przede wszystkim przez starszych wyborców. Powstaje swoisty paradoks: ci, którzy będą żyli najdłużej z konsekwencjami dzisiejszych decyzji, mogą mieć coraz mniejszy udział w ich podejmowaniu. Nie oznacza to oczywiście, że starsi wyborcy kierują się wyłącznie własnym interesem. Wielu z nich myśli o przyszłości dzieci i wnuków. Jednak demograficzna przewaga starszych generacji będzie coraz ważniejszym elementem politycznych kalkulacji.

HISTORIA NIE JEST PROSTYM SPISEM LUDNOŚCI. NIE ZAWSZE ZMIENIAJĄ JĄ NAJLICZNIEJSI.

Brak wspólnoty

Być może jednak najważniejsza przeszkoda dla pokoleniowej rewolucji wcale nie wynika z demografii. Jest nią brak wspólnego projektu politycznego. Pokolenie Solidarności, mimo licznych różnic ideowych, potrafiło zjednoczyć się wokół zasadniczego celu: zmiany systemu komunistycznego. Współczesne młode pokolenie nie ma równie jednoznacznie określonego przeciwnika ani wspólnej wizji przyszłości.

Dla części młodych problemem jest nadmierna rola państwa, wysokie podatki i ograniczanie wolności gospodarczej. Dla innych – zbyt słabe państwo, niewystarczające usługi publiczne i rosnące nierówności.

Jedni chcą większego konserwatyzmu obyczajowego, inni liberalizacji prawa i głębszych przemian społecznych.

Nie jest to wyłącznie zwykły spór między prawicą a lewicą. Coraz wyraźniej widać, że różnice polityczne przebiegają również między młodymi kobietami i mężczyznami.

Może się więc okazać, że zamiast jednej wielkiej rewolucji pokoleniowej będziemy świadkami dwóch lub kilku konkurujących ze sobą buntów. A jeśli młodzi podzielą się na przeciwstawne obozy, ich siła jako samodzielnego pokolenia politycznego będzie jeszcze mniejsza.

Czyja będzie Polska?

Powróćmy do pytania postawionego na początku: czy młode pokolenie zrobi w Polsce rewolucję i przejmie władzę?

Jeśli przez rewolucję rozumiemy samodzielne zdobycie większości parlamentarnej przez ugrupowanie opierające się niemal wyłącznie na młodych wyborcach, demografia stanowi poważną przeszkodę. Młodych jest po prostu coraz mniej, a polityczne podziały wewnątrz tej grupy dodatkowo ograniczają możliwość wspólnego działania.

Jeżeli jednak przez rewolucję rozumiemy zmianę języka polityki, hierarchii wartości, programów partyjnych i sposobu sprawowania władzy, sytuacja wygląda inaczej.

Młode pokolenie może odegrać w takim procesie znaczącą rolę, nawet nie będąc większością społeczeństwa.

W końcu historia nie jest prostym spisem ludności. Nie zawsze zmieniają ją najliczniejsi. Czasami decydujące znaczenie mają ci, którzy potrafią sformułować nowe idee i przekonać do nich innych.

José Ortega y Gasset przypominał, że każde pokolenie wchodzi na scenę historii z własną wizją świata. Ale żadne nie działa w próżni. Musi zmierzyć się z dziedzictwem poprzedników i z pokoleniami, które nadal uczestniczą w życiu społecznym.

W Polsce XXI wieku ta prawda nabiera szczególnego znaczenia.

Młodzi mogą buntować się przeciwko polityce starszych, ale nie będą w stanie łatwo ich przegłosować. Jeśli chcą zmienić państwo, będą musieli znaleźć sposób na przekroczenie granic własnego pokolenia.

Największym paradoksem przyszłej polskiej polityki może więc okazać się to, że młodzi będą mieli coraz więcej powodów do buntu, a jednocześnie coraz mniej głosów, by samodzielnie przełożyć ten bunt na władzę.

POLSKA PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE KRAJEM, W KTÓRYM MŁODZI STANĄ SIĘ DEMOGRAFICZNĄ MNIEJSZOŚCIĄ JESZCZE WYRAŹNIEJ NIŻ OBECNIE.

eprasa.pl 02de728a82

Cancelowanie dziadersów



Fot. Adobe Stock

Elegancko to się nazywa ageizmem. Mniej ładnie – pogardą dla ludzi w zaawansowanym wieku. Ich świadomym lub podświadomym **wykluczaniem**. Oczywiście, przyznanie się do marginalizowania seniorów wprost byłoby politycznie niepoprawne.

Monika Małkowska

Ta grupa społeczna w milczeniu i pokorze zbiera cięgi: 60, 70, 80+. Tym, którym pozostało niewiele życia, nie powinni się już niczego po tej resztce spodziewać. Młodsi dają im to odczuć na każdym kroku. Nieważne, czego w życiu dokonali; na jakie szczyty bohaterstwa czy intelektu się wdrapali – są eliminowani; jak bardzo się zasłużyli dla tego, żeby ich wnuki mogły żyć na wysokiej stopie – są do kasacji. Mogą być akceptowani tylko z racji kasy, którą są w stanie wybulić na swoją „złotą jesień". Bo tylko zasobny senior spełnia estetyczne wymogi współczesności. I tylko pod warunkiem, że jest „odstępstwem od reguły". Dobra, jednemu na milion odpuścimy. I odtrąbimy brak tolerancji dla wszelkich form wykluczania. Kultura też tego wymaga: nikt nie zwraca się do obcej starszej osoby per „babciu" czy „dziadku" – co było na porządku dziennym jeszcze ćwierć wieku temu, zwłaszcza w małych miejscowościach.
Z drugiej strony, w tej nadmiernej poufałości tliła się jeszcze odrobina ciepła, sympatii i szacunku. Teraz mówi się o nich z syczącą nienawiścią. Geriatria. Staruchy. Grzyby borowe. Dziadersi. Jednak to, co jeszcze wybacza się niektórym wybitnym mężczyznom w wieku senioralnym, zupełnie nie sprawdza się w odniesieniu do ich równolatek płci prze-

eprasa.pl 02de728a82

ciwnej. No, chyba że staruszka jest przy kasie i ma czym opłacić przychylność oraz uwagę młodszych. Lub ma stanowić przypadek szczególny, który propagatorzy równouprawnienia chętnie biorą na sztandary.

Niełądni

Geriatrii, której ledwo starcza emerytury na bazowe wydatki, powinno odebrać się prawo zakłócania swym widokiem nowoczesnego wielkomiejskiego pejzażu: wyglądają parszywie, ruszają się graślawo, noszą się obciachowo. W bliskim kontakcie brzydko pachną. Zestarzeli się, ich wielka wina! Z wiekiem wycięło im wyczucie estetyki, tej dotyczącej wyglądu, wymagania wiodącego na social forach. Won więc ze świata pięknych, młodych, bogatych!

A jeśli nawet jakiś matuzalem (ale oldskulowe określenie!) ubierze ciuch, co to „must have" – też katastrofa: nie te dodatki, nie ta fryzura, nie ta figura! Skąd więc na reklamach domów spokojnej starości, rewelacyjnych kremów, uniwersytetów trzeciego wieku czy spersonalizowanych form zarządzania wolnym czasem tylu przystojnych i zdrowo wyglądających silversów? Powiem Wam prawdę: ci na propagandowych fotach po prostu wcześnie osiwieli i „dorabiają" jako starzyki, choć w realu mają około czterdziestki. Prawdziwi starcy wyglądają bardziej jak Rembrandt na ostatnich autoportretach, kiedy miał blisko sześćdziesiątki (choć on akurat postarzał się przedwcześnie, przywalony niekorzystnymi losowymi przypadłościami), albo jak „Szalona Baśka" z portretu Fransa Halsa (w tym przypadku nie wiadomo, w jakim wieku była portretowana – poza tym, że nie stroniła od trunków).

Forever young

Niejeden o tym śnił – i wielu wyśpiewało to pragnienie, że przywołam tylko Boba Dylana (1974), Alphaville (1984) i Roda Stewarta (1988). Zachować młodość, urodę i wigor – to było marzenie ludzkości od zawsze. Co może wydać się paradoksem – ślady snu o wiecznej potencji zobaczyłam w Rzymie na wystawie „Potęga portretu. Egipt i Rzym. Twarze Fajum" (do 2 maja 2027 r.). Pominę w tym miejscu powalający artystyczny kunszt tych wizerunków oraz ich kulturowo-historyczną wartość – na całym świecie zachowało się ich niecały tysiąc, w rzymskim Museo dell'Ara Pacis pokazano prawie 50 arcydzieł. Poruszyło mnie co innego: na portretach sprzed prawie dwóch tysięcy lat wszyscy pozostają w rozkwicie swej urody, ufryzowani i ozdobieni wspaniałą biżuterią. Forever young.

> NIKT NIE ZWRACA SIĘ DO OBCEJ STARSZEJ OSOBY PER „BABCIU" CZY „DZIADKU" – CO BYŁO NA PORZĄDKU DZIENNYM JESZCZE ĆWIERĆ WIEKU TEMU.

Na przekór deklaracjom

Teoretycznie w zdrowych demokracjach i wyedukowanych społeczeństwach nie toleruje się różnych form wykluczenia społecznego: rasizmu, seksizmu, homofobii, ksenofobii, antysemityzmu, klasizmu (niższej rangi urodzenia), atrakcjonizmu (dyskryminacji ze względu na wygląd zewnętrzny), ageizmu... oraz innych sposobów marginalizowania kogoś ze względu na jakąś niepożądaną w danym środowisku cechę. Najczęściej wykluczana osoba nie jest w stanie w żaden sposób zmienić/poprawić tego, co ją pejoratywnie określa.

Jednocześnie wszelkie przejawy udowodnionej dyskryminacji uchodzą za wizerunkowo naganne, a nawet mogą być karane sądownie. Toteż tworzone są pozory równouprawnienia. Ale równość na sztandarach nie sprawdza się w praktyce. Są bardziej „uprzywilejowani w dyskryminacji" i tacy, którzy nie mają szans wyjść z czarnej dziury społecznego niebytu.

Ci „lepsi w gorszości", gdy doświadczają choćby najmniejszego bytowego dyskomfortu, czują się w prawie publicznie zaprotestować – niekiedy w tak agresywny sposób, że stanowią zagrożenie dla innych. Ludzie o niebiałej barwie skóry każdą niekorzystną dla nich uwagę przypisują rasizmowi; kochający inaczej domagają się uznania swej odmienności za normę; słabi intelektualnie żądają zrównania życiowych szans z tymi o najwyższym IQ. A co ze staruchami?

Za starzy, żeby żyć

Ageizm nasila się w czasach dla ogółu niekorzystnych. Wszelkie plagi, jak nie tak dawna pandemia coronavirusa, wzmagają antystarcze nastroje. Nie trąbiono o tym w mediach, ale nieoficjalnie wiadomo, że w pierwszej kolejności lekarze pomagali tym, którzy wiekowo i zdrowotnie rokowali wyleczenie. Podobnie w czasie nasilającego się bezrobocia czy inflacji seniorzy wypychani są na emerytury. Bo gdy na rynku pracy robi się ciasno, nie liczą się kompetencje, ale metryka. Jeśli tonie statek, a na pokładzie są przedstawiciele różnych generacji – na łodzie ratunkowe zabiera

eprasa.pl 02de728a82

się najpierw młodych i rozwojowych; jeśli w rodzinie bieda piszczy tak, że trzeba reglamentować żywność, w pierwszej kolejności karmi się tych, którzy rokują, że zarobią na innych. I jeśli za ciasny budżet domowy obciążone są osoby nierentowne, bywa, że w poczuciu odpowiedzialności „za rodzinę" usuwają się same. W sposób ostateczny. Wiele mówi się ostatnio o narastającej epidemii samobójstw wśród nastolatków i osób młodych. Przemilcza się natomiast samounicestwienia seniorów z powodu... biedy, samotności, wykluczenia. O tych tragediach jest cicho. Są medialnie „wykluczone".

Popykać fajeczkę

Jeszcze za PRL-u ludzie wiekowi, o ile zasłużyli się „narodowi" (wcale nie partii), otaczani byli szacunkiem. Pamiętacie? Jednym ze szlagierów zespołu Śląsk była „autobiografia" starzyka, który opowiadał, jak harował, za młodu „wyrębując węgla zwały, żeby ludziom ciepło dały", dzięki czemu ma przywilej, żeby w podeszłym wieku grzać kości przy piecu, hodować gołąbki i pykać fajeczkę. Tak jest nadal w krajach, gdzie nowoczesność nie zdewastowała międzypokoleniowych związków. Pewnie większość z nas miała okazję obserwować „starzyków" w Grecji, Hiszpani, Turcji czy na południu Włoch lub Francji spędzających czas na rozmowach przy kawie i lampce czegoś mocniejszego. Nie wyglądają na speszonych bezczynnym trybem życia. I cieszą się estymą, jakby byli równie produktywni jak za młodych lat. W tychże kulturach leciwe, pokiereszowane reumatyzmem matrony nie czują się niekomfortowo z racji swej zdewastowanej urody i mniejszej sprawności fizycznej. Tak, ważny jest klimat – w sensie dosłownym. Słońce i temperatura pozwalają godzinami wysiadywać w kafejkach, na ławeczkach, na skwerach. Jednak nie mniej istotny jest klimat społeczny. Podejście do tych 60+. Nikt im nie wyrzuca, że mają chudy portfel. W bogatych demokratycznych krajach na zasobnych geriatrach zarabiają całe rzesze wysoko wyspecjalizowanych profesjonalistów utrzymujących ich w zdrowiu lub przy życiu, umilających je (życie) i wypełniających czas, nadmiar czasu. Na tych biedniejszych nie warto tracić... czasu.

Superstarcy

Są dziedziny, w których nikogo nie rozlicza się z PESEL-u – literatura, muzyka (głównie poważna), sztuki wizualne. Tak, niektórzy artyści mają lepiej. Jeśli jakiemuś przedstawicielowi twórczych branż udaje się utrzymać zainteresowanie odbiorców od młodości do późnych lat, to ma z górki. I sporo na koncie. Takim szczęściarzom dorabia się – ot, tak, z racji wieku – tytuły profesora (nawet jeśli nigdy nie nauczali) albo tytułuje mistrzami. Przywołuje się też historię sztuki i kilku/nastu geniuszy tworzących do późnych lat, którzy wraz ze starością osiągali kompozycyjną śmiałość i techniczne szczyty. Powtórzmy tę mantrę: Tycjan, Michał Anioł, Rembrandt, Goya, Monet, Matisse, Picasso, Chagall... To tylko w Europie, poza nią lista twórczych matuzalemów jest znacznie dłuższa. Ale co z tymi niewyposażonymi w talenty? Czasem właśnie tacy „zwykli" seniorzy stają się dla twórców tematem ciekawym – czytaj: dochodowym. Filmy i spektakle o radościach albo komicznych stronach „jesieni" życia mają wzięcie dzięki gwiazdorskim obsadom – jak „Hotel Marigold", „Praktykant" czy „Kwartet". O dramatach seniorów mało kto odważa się opowiadać: to źle się sprzedaje. Są wprawdzie wyjątki – Michael Haneke, Paolo Sorrentino, Samuel Beckett... Niedawno powtórkowo obejrzałam telewizyjną rejestrację spektaklu Tankreda Dorsta „Ja, Feuerbach" w interpretacji Piotra Fronczewskiego (z 2016 roku). To też o starości. I o upokorzeniu, którego zaznają dawno zdetronizowani idole.

SĄ BARDZIEJ „UPRZYWILEJOWANI W DYSKRYMINACJI" I TACY, KTÓRZY NIE MAJĄ SZANS WYJŚĆ Z CZARNEJ DZIURY SPOŁECZNEGO NIEBYTU.

Starość to też temat

Danuta Szaflarska pojawiała się na scenie w wieku... wiekowym. W filmie „Pora umierać" (2007) aktorka zagrała staruszkę (czyli siebie) walczącą o prawo do godnego życia i samostanowienia. Idąc za ciosem, Dorota Kędzierzawska wykorzystała wzrost zainteresowania sędziwą aktorką i nakręciła dokument „Inny świat" (2012), w którym 97-letnia Szaflarska opowiada o swoim życiu. Kilkanaście lat temu nieoczekiwaną sławę zyskała Helena Norowicz (rocznik 1934), mniej pamiętana jako aktorka, za to bardziej rozpoznawalna jako najstarsza polska modelka. Obok niej pojawia się DJ Vika, czyli Wirginia Szmyt, najstarsza didżejka w Polsce (o cztery lata młodsza od Norowicz). Do tego ekskluzywnego grona doliczyć można Joannę Rawik, która jako

eprasa.pl 02de728a82

89-latka zaczęła prowadzić radiowe programy poświęcone muzyce francuskiej. Nie obyło się bez złośliwych uwag, że gdy pani Joanna zasiadała przed mikrofonem, w studiu powinien obecny być lekarz. W polskich mediach Rawik stanowiła wyjątek potwierdzający regułę: zarówno TVP, jak i Polskie Radio systematycznie finalizowały współpracę ze starszymi osobami, choćby mieli stałych odbiorców, brzmieli doskonale i mieli do powiedzenia coś więcej niż ściągnięta z sieci powszechnie dostępna papka. Co ciekawe – w Polsce, podobnie jak w innych „młodych" demokracjach (zwłaszcza w krajach postkomunistycznych), parcie na medialną młodość stało się wymogiem zaistnienia. Za to w BBC czy CCN prezenterzy mogą mieć zmarszczki i siwe włosy. Ba, wielodekadowy staż pracy na wizji czy przed mikrofonem jest niepodważalnym atutem – przeliczalnym na zarobki (także stacji).

Ucieczka do przodu

Kolejna ciekawostka: „Kabaret Starszych Panów". Piosenki z tamtych spektakli (lata 60.) mają wzięcie do dziś, także wśród kolejnych generacji inteligentów. Ale przecież nikt (?) nie rozumie najgenialniejszego posunięcia Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego: przejścia do kategorii nieszkodliwych/niewidocznych staruszków, kiedy byli w swych latach średnich. Zestarzeli się przedwcześnie na własne życzenie i zyskali na tym sławę. Ponadczasową. A gdyby tak... Starsi Panowie pojawili się teraz, w epoce cyfrowego wzmożenia? Czy ich filozofia życiowa, dowcip, elegancja i starannie kultywowana „staromodność" znalazłyby wdzięcznych odbiorców?

Niezdarni

Z geriatrią jest problem nie tylko wizualny czy zdrowotno-fizyczny. Brak umiejętności obsługiwania elektronicznych sprzętów staje się utrudnieniem, nawet barierą w korzystaniu z ofert świata. Teraz, żeby komunikować się z innymi, podróżować, robić zakupy, nawet zjeść pizzę, trzeba mieć smartfon. Inaczej mówiąc – ludzki byt determinują aplikacje. Żeby z nich korzystać, trzeba wyposażyć się w urządzenie z systemem Android lub iOS. I nieustannie kontrolować informacje ukazujące się na ekranie, czyli koncentrować uwagę nie na otoczeniu i innych ludziach, lecz na smartfonie. To codzienny widok, niezależnie od miejsc, w jakim się przebywa: zombie chodzący po ulicach, niedostrzegający nikogo ani niczego, ze wzrokiem wbitym w ekranik, kurczowo trzymany w rękach. Zdarzyło się kilka dni temu w Rzymie, na obleganym przez turystów Zatybrzu: słońce (choć listopad) i stoliki wystawione na zewnątrz; na blatach papierowe serwetki z wydrukowanym menu oraz aplikacją lokalu. Dla wielu młodych spacerowiczów to nie był problem. Nie zdawali sobie sprawy, że tracili to, co najcenniejsze – tradycyjną rozmowę z kelnerem czy właścicielem knajpki, nawiązywane w ten sposób znajomości. I niezbędne do życia międzyludzkie kontakty.

PRZEMILCZA SIĘ SAMOUNICESTWIENIA SENIORÓW Z POWODU... BIEDY, SAMOTNOŚCI, WYKLUCZENIA.

Wykluczeni

Geriatria na ogół nie ma najnowszych smartfonów. Dziadersów nie stać na coraz droższe i bardziej skomplikowane gadżety. Stresuje ich opanowywanie nowych technologii. Nie potrafią obsługiwać cyfry. Co gorsza – mają także słabszy wzrok. Z myślą o seniorach wprowadzono specjalne komórki z dużymi literami i ograniczonym zestawem funkcji. Posiadacze takiego sprzętu, choćby nawet dysponowali środkami płatniczymi (ale nie Blikiem!), nie pojadą autobusem, nie polecą samolotem, nie odprawią się przed lotem, nie zrobią internetowych zakupów, nie skorzystają z barku... Z każdym rokiem coraz więcej czynności znajdzie się poza ich zasięgiem. Świat im się skurczy do minimum.

A swoją drogą – brak telefonu z internetem i aparatem skanującym kody QR wyklucza bez względu na wiek i poziom umiejętności. Zgubisz, ukradną ci go, rozwali się, utopisz w klopie lub zwyczajnie się wyładuje – nie istniejesz. Pilnuj więc tego skarbu, bo ważniejszy jest niż ty sam.

NAJCZĘŚCIEJ WYKLUCZANA OSOBA NIE JEST W STANIE W ŻADEN SPOSÓB ZMIENIĆ/POPRAWIĆ TEGO, CO JĄ PEJORATYWNIE OKREŚLA.

eprasa.pl 02de728a82

Dyskryminacja starszych związkowców



Fot. Adobe Stock

Dyskryminacja w miejscu pracy ze względu na wiek to problem, o którym wiedzą i **mówią wszyscy**, a któremu w praktyce nie tylko trudno zaradzić, ale niełatwo go nawet udowodnić.

Agnieszka Żurek

Kwestia równego traktowania osób starszych na rynku pracy jest przedmiotem zainteresowania Solidarności. Mówił o niej podczas tegorocznego Forum Ekonomicznego w Karpaczu Bartłomiej Mickiewicz.

Niewidzialni dla rekruterów

Wiceszef Związku wskazywał, że dyskusja na temat obecności starszych osób na rynku pracy nie powinna być sprowadzana jedynie do kwestii wieku emerytalnego (na którego podniesienie nie ma i nie będzie zgody Solidarności), ale należałoby równolegle rozmawiać także o stworzeniu bezpiecznych i atrakcyjnych warunków zatrudnienia dla seniorów, którym zdrowie i siły pozwalają na kontynuowanie pracy i którzy nie powinni być sztucznie „wypychani" na emeryturę, jeśli sami tego nie chcą.

– Mam wrażenie, że w polskim systemie mamy sytuację taką, że ten mityczny wiek emerytalny to jest taka granica, po której na emeryturę się odchodzi. A warto by było spowodować, żeby to nie była ta granica, tylko raczej taki bezpiecznik, że jeżeli będę chciał i zdrowie mi nie pozwoli dłużej pracować, to odchodzę. Ale jeżeli daję radę, wytrzymuję i mam odpowiednie warunki pracy i możliwości, żeby pracować, to po prostu pracuję. I to jest rozwiązanie dobre zarówno dla pracowników, jak i dla pracodawców – podkreślał Bartłomiej Mickiewicz.

W praktyce jednak dyskryminacja osób starszych na rynku pracy

eprasa.pl 02de728a82

to tajemnica poliszynela, a granica wieku, powyżej którego pracownik staje się „niewidzialny" dla rekruterów, obniża się, mimo iż z kolei średnia długość życia w Polsce długofalowo rośnie i wynosi obecnie 75 lat dla mężczyzn i 82 lata dla kobiet. Tymczasem na rynku pracy za „stare" bywają uważane osoby już około 50. roku życia. Trudno jednak udowodnić, że pracodawca stosuje praktyki dyskryminacyjne, jeśli polecenia wobec rekruterów mają często charakter nieformalny lub „domyślny". Uczula na to lubelska Solidarność, wskazując, że dyskryminacja może mieć charakter pośredni lub bezpośredni. – Dyskryminowanie bezpośrednie istnieje wtedy, gdy pracownik z jednej lub z kilku przyczyn jest, był lub mógłby być traktowany w porównywalnej sytuacji mniej korzystnie niż inni pracownicy, np. ktoś jest gorzej traktowany, bo jest kobietą czy osobą niepełnosprawną. Przykład: pracodawca organizuje szkolenie przydatne w codziennej pracy każdego pracownika zatrudnionego w tym przedsiębiorstwie. Do udziału w szkoleniu są wyznaczeni wszyscy pracownicy zakładu z wyjątkiem pracownika w wieku 50+. Pracodawca odmawia mu udziału w szkoleniu. Jako powód swojej decyzji wskazuje potrzebę inwestowania w młodszych pracowników. Powyższa sytuacja może być uznana za przejaw dyskryminacji bezpośredniej z uwagi na wiek – wskazują związkowcy. – Przejawem dyskryminowania jest także zachęcanie innej osoby do naruszenia zasady równego traktowania w zatrudnieniu lub nakazaniu jej naruszenia tej zasady. Przykład: dyrektor marketingu nakazuje dyrektorowi działu rekrutacji, aby niezależnie od doświadczenia i umiejętności posiadanych przez kandydatów do pracy zatrudniał na stanowisko kelnera w sieci restauracji wyłącznie kobiety do 25. roku życia w sytuacji, w której nie jest to uzasadnione żadnymi obiektywnymi względami. Charakter pracy i sposób jej wykonywania nie wymaga, aby świadczyły ją wyłącznie takie osoby. Pracownik, który jest zachęcany przez przełożonego czy pracodawcę do działań dyskryminacyjnych, może odmówić wykonania polecenia, gdyż jest ono niezgodne z prawem – dodają.

Pracownik nie może zostać sam

Zgodnie z Kodeksem pracy pracodawca nie może nierówno traktować pracownika ze względu na wiek – dotyczy to m.in. rekrutacji, wynagrodzenia, awansów, szkoleń oraz zwalniania. W praktyce jednak pracownik, który będzie chciał nagłośnić tego rodzaju problem, może mieć duże kłopoty z jego udowodnieniem, zwłaszcza jeśli działa w pojedynkę. Wielkopolska Solidarność chce wypracować narzędzia, dzięki którym walka z dyskryminacją będzie nie tylko mniej stresująca dla pracownika, ale przede wszystkim będzie miała charakter systemowy, nie indywidualny, co przełoży się z pewnością na wzrost poczucia bezpieczeństwa osób zatrudnionych.

Jak wskazuje w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" przewodniczący wielkopolskiej Solidarności Jarosław Lange, zjawisko nierównego traktowania w miejscu pracy może mieć różne oblicza. Wymienia on w tym kontekście dyskryminację na tle narodowościowym, przynależności do związków zawodowych, wyznawanego światopoglądu, ale także gorsze traktowanie pracowników ze względu na ich wiek. Czy wynika z tego, że najbardziej narażeni na dyskryminację są starsi wiekiem pracownicy należący do związków zawodowych? – Tego jeszcze nie wiemy – odpowiada Lange. – Dowiemy się tego dopiero po zakończeniu naszego projektu „Solidarność – razem przeciwdziałamy dyskryminacji w pracy".

Szef wielkopolskiej Solidarności podkreśla, że jednym z celów projektu jest zwiększenie społecznej świadomości na temat istoty zjawiska dyskryminacji i sposobów przeciwdziałania mu. Wyjaśnił, że realizowany przez wielkopolską Solidarność i rozpoczęty w październiku tego roku projekt potrwa do roku 2028 i będzie składał się z trzech etapów: analizy problemu, zapewnienia bezpłatnych porad prawnych dla osób doświadczających dyskryminacji oraz opracowania praktycznego narzędzia dla pracodawców i organizacji związkowych. – Powstanie poradnik prezentujący rozwiązania, procedury i polityki, które mogą ograniczać ryzyko występowania dyskryminacji lub pomóc w skutecznym reagowaniu na takie sytuacje. Chcemy, aby był to praktyczny przewodnik dla wszystkich stron rynku pracy – zapowiedział szef wielkopolskiej Solidarności.

ZGODNIE Z KODEKSEM PRACY PRACODAWCA NIE MOŻE NIERÓWNO TRAKTOWAĆ PRACOWNIKA ZE WZGLĘDU NA WIEK.

eprasa.pl 02de728a82

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

W Polsce lat 90. kwitły ruchy i stowarzyszenia katolickie skupiające miliony ludzi i obejmujące niemal wszystkie dziedziny życia. Był to ważny, a dziś często zapominany element ówczesnego pejzażu społecznego i religijnego. Dionizy Smoleń w tekście opublikowanym w **nr 23 (296) „TS”, który ukazał się 3 czerwca 1994 roku**, przygląda się tej niezwykłej różnorodności wspólnot, które uczyły, że „człowiek nie żyje dla siebie”. Tekst przypominamy z okazji 45-lecia naszego pisma.

Człowiek nie żyje dla siebie

Dionizy Smoleń


Człowiek nie żyje


dla siebie

Chleb z tysięcy ziaren

Próbuje się dzisiaj lansować tezę, że polski katolicyzm jest płytki, zewnętrzny i pozbawiony głębi, że Polak chodzi co prawda do kościoła, ale czyni to głównie z przyzwyczajenia – że wiara jest zjawiskiem nader rzadkim, a życie na co dzień „według bożych przykazań” czymś wręcz wyjątkowym. Jest to obraz nie tylko uproszczony, ale po prostu nieprawdziwy.

W marcu 1980 roku ksiądz Franciszek Blachnicki ogłosił na Jasnej Górze „Deklarację o niektórych aktualnych problemach zaangażowania się w sprawy społeczno-polityczne kraju”. Był to w gruncie rzeczy apel o nieuczestniczenie w wyborach określonych jako całkowicie dla chrześcijanina nieautentyczne. Deklarację poparło kilkuset uczestników spotkania Odpowiedzialnych Ruchu Światło-Życie. Ruch ten rozwijający się prężnie od lat sześćdziesiątych nie był zresztą ani trochę polityczny. Tak jednak był interpretowany przez odpowiedzialnych za propagandę urzędników partyjnego aparatu i z tego powodu był permanentnie szykanowany. Na porządku dziennym były kary administracyjne, aresztowania, rewizje czy rozpowszechniane w różnych środowiskach fałszywki. A przecież był to pierwszy w Polsce ruch odnowy Kościoła zapoczątkowanej na Soborze Watykańskim II. Gromadził ludzi wierzących wokół najcenniejszych dla nich wartości, pomagał budować im wewnętrzną suwerenność. Przede wszystkim jednak uczył, jak być katolikiem na co dzień: w domu, w szkole, w pracy, także w parafii. Przez OAZY – bo tak był popularnie nazywany – przeszły bodaj setki tysięcy ludzi. Wielu z nich stworzyło następne ruchy i stowarzyszenia, których jest dziś w Polsce blisko 180. Pół miliona dorosłych katolików angażuje się na co dzień w działania obejmujące wszystkie bodaj dziedziny życia. Spróbowaliśmy pokazać niektóre spośród nich.

eprasa.pl 02de728a82

Służba rodzinie

Najliczniejsze są bodaj te ruchy, których szczególną troską jest służba rodzinie.

Niektóre przywędrowały do nas z Zachodu, inne poszczycić się mogą polskim rodowodem. Wiele z nich powstało w chwilach szczególnie trudnych dla polskich rodzin, czyli w okresie stanu wojennego. Właśnie wtedy narodziło się w Warszawie Przymierze Rodzin. Założycielka ruchu, Izabela Dzieduszycka, związana początkowo z Sekcją Rodzin Klubu Inteligencji Katolickiej, wyrzucona z pracy w stanie wojennym, organizowała pomoc dla rodzin internowanych i represjonowanych, tak jak wcześniej w KIK inicjowała wyjazdy na obozy, wspólne Msze Święte i spotkania samokształceniowe. Inicjowała, to znaczy wciągała do pracy następnych, ci zaś znowu kolejnych. Tak właśnie realizowała się w najprostszym wymiarze nauka społeczna Kościoła i tak powstało Przymierze Rodzin.

Jego ośrodki działają dziś w parafiach i gromadzą całe rodziny. To właśnie rodziny same dla siebie organizują spotkania na tematy wychowawcze, wycieczki, pielgrzymki, obozy. Często dorośli przychodzą do Przymierza właśnie po to, by dzieciom zapewnić wakacje nieodbiegające od wychowania w rodzinie: z codzienną modlitwą, ze Mszą Świętą, z solidnym programem wychowawczym. Dowodem siły i prężności Przymierza jest decyzja o budowie i prowadzeniu szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego.

– Porwaliśmy się na gigantyczne przedsięwzięcie – mówi Izabela Dzieduszycka – ale chodzi nam o szkołę z prawdziwego zdarzenia, która nie tylko zapewni wysoki poziom nauczania, ale będzie wychowywać wartościowych ludzi i dobrych Polaków.

Ciekawa jest opinia socjologa zaangażowanego w Przymierze. Teresa Krynicka mówi, że ludzie uczą się zasad współżycia społecznego, rozmawiania z dziećmi, pracy nad kształtowaniem ich charakterów. Młodzi ludzie prowadzący w Przymierzu grupy młodszych dzieci ujawniają często talenty pedagogiczne. Ideą stowarzyszenia jest wyzwolenie aktywności dzieci i rodziców.

– Rodziny „sprzymierzone" same tworzą środowisko, które pomaga im wychowywać dzieci w duchu pożądanych wartości. Wiedzą, że w oderwaniu od wspólnoty byłoby to zadanie dużo trudniejsze.

Rodzina Rodzin stawia sobie za cel „odrodzenie i uświęcenie polskiej rodziny". Szczególną opieką moralną i materialną obejmuje rodziny wielodzietne i wielopokoleniowe. Założycielem i ojcem ruchu był Stefan kardynał Wyszyński, który tak określił stojące przed ruchem zadania: „wychowanie rodzin chrześcijańskich do wiernej miłości małżeńskiej, ofiarnego rodzicielstwa i wzajemnej pomocy między rodzinami". Pierwsze grupy spotykały się w czasie uwięzienia prymasa Wyszyńskiego, aby modlić się o wolność jego i Kościoła.

– Do Rodziny Rodzin trafiłam w pierwszej klasie szkoły podstawowej – mówi licealistka Maria Gadzińska – akurat w stanie wojennym. Zapamiętałam – wspaniałe „ciocie" i cudownych „wujków". „Wujkami" są przeważnie klerycy, „ciociami" studentki albo wychowanki grupy. To grupa nauczyła mnie oddania dla innych, tego, że człowiek nie żyje dla siebie. Przed egzaminami do szkół średnich „ciocie" i „wujkowie" pracowali z nami cały czas, nikt nie był zaniedbany. Mogę nas nazwać prawdziwą rodziną.

W Warszawie i w kilku innych ośrodkach działa około 25 grup Rodziny Rodzin, każda grupa obejmuje kilkanaście czy kilkadziesiąt rodzin. Rodziny bogatsze pomagają biedniejszym, małodzietne wielodzietnym, silniejsze słabszym.

– Bylibyśmy po rozwodzie, gdyby nie pomoc Domowego Kościoła – wyznaje Stanisław Górny z Warszawy.

Ten ruch jest również dziełem księdza Franciszka Blachnickiego (podobnie jak ruchy trzeźwościowe, jak Krucjata Wyzwolenia Człowieka czy Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów).

– Rekolekcje oazowe – mówi Stanisław Górny – były oderwaniem się od rzeczywistości dnia codziennego i spojrzeniem na siebie z zupełnie innej perspektywy. Zobaczyliśmy w sobie człowieka.

Ruch Kościoła Domowego po raz pierwszy zorganizował 15-dniowe rekolekcje w 1973 roku. Teraz w Polsce zaangażowanych jest w nim 20 tys. małżonków w 1800 „kręgach" (4–7 rodzin). To tam małżeństwa pracują nad doskonaleniem życia małżeńskiego i osobistego – co jest równoznaczne z postępem w życiu chrześcijańskim.

– Nauczyłam się patrzeć na męża jak na dar, który dostałam od Pana Boga. I on też się tego nauczył. Oboje mamy różne wady i musieliśmy

PRÓBUJE SIĘ DZISIAJ LANSOWAĆ TEZĘ, ŻE POLSKI KATOLICYZM JEST PŁYTKI, ZEWNĘTRZNY I POZBAWIONY GŁĘBI, ŻE POLAK CHODZI CO PRAWDA DO KOŚCIOŁA, ALE CZYNI TO GŁÓWNIE Z PRZYZWYCZAJENIA.

eprasa.pl 02de728a82

nauczyć się wzajemnej akceptacji.

Uświadomiliśmy sobie, że wspólnie odpowiadamy za swoje zbawienie. Jakoś to do mnie nie docierało przez wiele lat, było to takie utopijne, górnolotne – mówi Teresa Pruszek, od czterech lat we wspólnocie.

– Coraz rzadziej się kłócimy. Zobaczyliśmy, że nie można klękać do modlitwy wieczornej i jednocześnie być skłóconym z mężem – mówi Danuta Skaczkowska, tłumaczka języka francuskiego i angielskiego.

„Człowiek ubogi i upośledzony stanowi wielką wartość dla społeczeństwa i Kościoła. Bowiem w świecie, który goni za sukcesem i wydajnością, objawia on to, co najważniejsze: miłość, zaufanie i bezinteresowność [...] Człowiek upośledzony i cierpiący ma wielką misję do spełnienia we współczesnym świecie”. Słowa te wypowiedział Jean Vanier – założyciel ruchów ARKA oraz Wiara i Światło poświęconych pomocy osobom upośledzonym umysłowo i ich rodzinom. Członkowie Wiary i Światła skupieni są w niewielkich (do 30 osób) grupach osób upośledzonych, ich przyjaciół (tak nazywa się wspólnotowych opiekunów) i rodziców. Spotykają się regularnie na modlitwie, zabawie, jeżdżą na wycieczki i obozy. W Polsce działa ponad 160 takich wspólnot, pierwsza powstała we Wrocławiu w 1978 r.

Celem ruchu jest przełamywanie muru izolacji otaczającego osoby upośledzone i ich rodziny oraz tworzenie wokół nich przyjaznego środowiska.

– Przyszli do mnie przyjaciele i zaprosili na spotkanie. Moja córka z zespołem Downa ogromnie cieszy się z takich spotkań. Od kiedy jesteśmy w grupie Wiara i Światło, nabrałam wiary w jej umiejętności. To zaufanie mieli do niej przyjaciele, oni jej pozwalali na wiele więcej rzeczy niż ja – mówi pani Helena z Warszawy.

Kiedyś czuła się strasznie osamotniona.

– Ciężar bycia z dzieckiem był tylko mój i uważałam, że tylko ja go dźwigam. Teraz zobaczyłam, że są młodzi ludzie, którzy chcą przejąć ode mnie część tego ciężaru. Dzięki temu odkryłam siebie, a już mi się wydawało, że jestem ta najgorsza. No bo dlaczego ja mam takie dziecko, że właściwie ludzie się ode mnie odsuwają? A tutaj poczułam się znowu dowartościowana, mogę przekazywać swoje doświadczenie innym, zaczęłam rozumieć swoje życie.

Wiara i Światło przekonuje, że osoba upośledzona ma takie samo prawo do bycia uznawaną, szanowaną i kochaną, jakie mają inni ludzie.

– Kontakt z osobami upośledzonymi okazał się bardzo głęboki – mówi Agnieszka Przeciszewska – i daje mi tyle radości. Kiedy są z nami osoby upośledzone, wszystko jest prawdziwe i szczere. Człowiek upośledzony natychmiast wyczuwa każdy fałsz. Z nimi jest więc inna atmosfera, bezpośrednia i radosna, pełna spontaniczności. Tak że nawet między opiekunami nie ma miejsca na złości czy uprzedzenia.

Pomagać ludziom uzależnionym

Stowarzyszenia katolickie wchodzą wszędzie tam, gdzie jest potrzebujący człowiek. Jest więc oczywiste, że i problem narkomanii jest im nieobcy.

– Wielu moich kolegów ze szkoły średniej było narkomanami. Obecnie nie ma ich już na tym świecie. Zaangażowałem się więc w prace tego ruchu, który chce pomagać ludziom uzależnionym – mówi diakon Jerzy Bieńkowski (pallotyn) związany z ruchem KARAN: Katolickim Ruchem Antynarkotycznym, który powstał w 1987 roku. Działalność stowarzyszenia jest zgodna z ogólnopolskim programem zapobiegania narkomanii oraz AIDS. KARAN szkoli księży w zakresie profilaktyki oraz edukacji antynarkotycznej. Organizuje spotkania dla młodzieży przygotowującej się do pracy w środowisku osób uzależnionych lub zagrożonych uzależnieniem.

– Proponujemy wszystkim ludziom, zaczynając od dzieci, inny styl życia, inny sposób życia, inne spojrzenie na świat – mówi diakon Jerzy Bieńkowski.

KARAN prowadzi w Warszawie, Radomiu i Rzeszowie świetlice socjoterapeutyczne dla dzieci i młodzieży z rodzin patologicznych. Prowadzi też dwie placówki rehabilitacyjne dla uzależnionych i nosicieli wirusa HIV. Od pięciu lat organizuje „Wakacje z Bogiem”: w 1993 r. uczestniczyło w nich 500 dzieci z całej Polski.

W obronie życia

Wiele ruchów i stowarzyszeń niesie pomoc samotnym matkom, rodzinom wielodzietnym oraz podejmuje działania w obronie życia. Polska Federacja Ruchów Obrony Życia skupia obecnie 90 pozarządowych ruchów i organizacji, których zasadniczym celem jest ochrona macierzyństwa, człowieka poczętego, nauczanie metod naturalnego planowania rodziny.

NAJLICZNIEJSZE SĄ TE RUCHY, KTÓRYCH SZCZEGÓLNĄ TROSKĄ JEST SŁUŻBA RODZINIE. NIEKTÓRE PRZYWĘDROWAŁY DO NAS Z ZACHODU, INNE POSZCZYCIĆ SIĘ MOGĄ POLSKIM RODOWODEM.

eprasa.pl 02de728a82

Ruch Obrony Życia im. Księdza Jerzego Popiełuszki zawiązał się formalnie 13 grudnia 1984 r.

– Pomagamy samotnym matkom i samotnym ojcom, matkom w ciąży, dziewczynom szukającym ratunku, pozbawionym rodziny. Często wyrzucone z domu, bo zaszły w ciążę, spłakane, zawiedzione przychodzą do nas. Kierujemy je do osób, które mogą im pomóc, mamy dom samotnej matki, gdzie mogą 3 miesiące przed i 3 miesiące po urodzeniu dziecka przebywać otoczone opieką i miłością, prowadzimy budowę następnych takich domów, mamy cykle spotkań z lekarzami i psychologami, organizujemy obozy i kolonie również dla wychowanków domów dziecka – mówi Ewa Świderska.

– Zbieramy podpisy pod apelem Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia, w którym sprzeciwiamy się inicjatywie Parlamentarnej Grupy Kobiet zmierzającej do znowelizowania obecnie obowiązującej ustawy o ochronie życia poczętego – stwierdza Anna Czudejko z Ruchu SOS Obrony Poczętego Życia.

Także i ten ruch prowadzi punkty pomocy dla matek w trudnej sytuacji rodzinnej, ma swój ośrodek rehabilitacji dla dzieci z porażeniem mózgowym i domy dla matek z dzieckiem w Strzyżowie, Kończycach, kolejny budowany jest w Bysławiu. W Kielcach prowadzi Katolickie Liceum Ogólnokształcące.

Ogromna różnorodność ruchów i stowarzyszeń jest dowodem ich żywotności i siły w podejmowaniu ludzkich spraw. Istnieją ruchy skupiające ludzi o podobnym zawodzie i zbliżonym statusie: duszpasterstwa lekarzy, nauczycieli, prawników, a nawet biznesmenów. Nie sposób przecenić rolę, jaką na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat odegrały duszpasterstwa akademickie, które pozwoliły młodzieży choć trochę uniezależnić się od wszechobecnego państwa.

Ksiądz Adam Schulz, rektor Kolegium Jezuickiego w Warszawie, zarazem sekretarz Rady Ruchów Katolickich, uważa takie stowarzyszenie za niezwykle ważne.

– Pozwalają ludziom pogłębiać refleksję, jak mają jako katolicy doświadczać wiary, jak odgadywać, co Bóg i Ewangelia nakazują wnosić w obszary ich pracy.

STOWARZYSZENIA KATOLICKIE WCHODZĄ WSZĘDZIE TAM, GDZIE JEST POTRZEBUJĄCY CZŁOWIEK. JEST WIĘC OCZYWISTE, ŻE I PROBLEM NARKOMANII JEST IM NIEOBCY.

Niektórzy chcieliby bardzo zepchnąć nas do obszaru akcji charytatywnej. To jest cenna praca – mówi ksiądz rektor – dużo ruchów jest w nią zaangażowanych, ale funkcjonują także ruchy, które myślą, jak stworzyć nowe miejsca pracy, jak pomóc bardziej specjalistycznie, strukturalnie. Przed ruchami i stowarzyszeniami pojawia się nareszcie możliwość wspólnego działania.

Wymianie doświadczeń i integracji służyć ma Kongres Ruchów Katolickich, który odbędzie się w dniach 3–4 czerwca „u jezuitów”, czyli w sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Warszawie. Po raz pierwszy od ponad półwiecza spotykają się ludzie z najróżniejszych środowisk i wspólnot, złączeni wolą współdziałania i jedności – a zarazem świadomi swej różnorodności.

Zdaniem ks. Adama Schulza można mówić o „wiośnie” ruchów i stowarzyszeń katolików w Polsce. Członkowie ruchów zaangażowali się w przemiany gospodarcze w kraju, w pracę samorządów lokalnych, w szerzenie kultury i życie polityczne.

– Te ostatnie cztery lata – mówi ks. Schultz – to prawdziwa eksplozja działania i duchowej formacji. I przyszedł już czas na spotkanie, tak aby można było wymienić doświadczenia i zastanowić się, jaka jest teraz rola tych wszystkich grup w Kościele i w społeczeństwie. Bo wszystkie one są naszym wielkim bogactwem.

ISTNIEJĄ RUCHY SKUPIAJĄCE LUDZI O PODOBNYM ZAWODZIE I ZBLIŻONYM STATUSIE: DUSZPASTERSTWA LEKARZY, NAUCZYCIELI, PRAWNIKÓW, A NAWET BIZNESMENÓW.

Ruchy i stowarzyszenia przygotowują do dojrzałego życia społecznego. Zakres ich działania jest bardzo szeroki: troska o wszechstronny rozwój rodziny, ochrona życia ludzkiego, przeciwdziałanie patologiom społecznym, troska o najbiedniejszych i upośledzonych.

eprasa.pl 02de728a82



Fot. T. Gutry

TAJNY PLAN

na Trybunał

Pod osłoną rozmów w Belwederze realizowany jest być może zupełnie inny plan na Trybunał Konstytucyjny. To gra **na wielu poziomach**, w której nie ma mowy ani o „grubej kresce", ani o choćby jednym kroku wstecz.

Andrzej Gajcy

eprasa.pl 02de728a82

Noc z 18 na 19 listopada. Wieczorową porą dziedziniec Belwederu opuszczają kolejne samochody z politykami niemal wszystkich opcji, którzy jeszcze przed chwilą pochylali się nad stołem w poszukiwaniu sposobu na dokonanie resetu w Trybunale Konstytucyjnym. Właśnie dobiegła końca druga tura konsultacji politycznych zwołanych z inicjatywy prezydenta Karola Nawrockiego, którym przewodniczył szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki. W pałacowych salach zasiedli obok siebie przedstawiciele klubów i kół poselskich od prawa do lewa. Zabrakło jedynie Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy, które Belweder omijają szerokim łukiem.

Nocny przeciek, który miał wysadzić negocjacje w powietrze

Tuż po godzinie 19.00 podczas briefingu padły optymistyczne deklaracje o zgodzie w blisko 70 procentach proponowanych rozwiązań i możliwym wspólnym projekcie zmiany konstytucji. Dokument ten, opatrzony politycznym błogosławieństwem prezydenta, miał przeprowadzić w Trybunale twardy reset.

Nieprzypadkowo jeszcze tej samej nocy szczegóły belwederskiego planu trafiły do dziennikarzy, a następnego ranka ujawniła je stacja TVN24. Kto wyniósł te ustalenia, w jakim celu i dlaczego akurat do tego medium? Z pewnością zrobił to ktoś z pełną świadomością tego, jaką lawinę ten wyciek za chwilę uruchomi. W Pałacu Prezydenckim nikt nie miał wątpliwości, że przeciek był jak najbardziej prawdziwy. – Ktoś nie wytrzymał ciśnienia i puścił przeciek do mediów. Można domyślić się, w jakim celu: by te rozmowy storpedować i zerwać – takie nieformalne głosy płynęły tego poranka z otoczenia głowy państwa.

Co naprawdę położono na stole w Belwederze?

Tymczasem plan, który położył na stole szef prezydenckiej kancelarii Zbigniew Bogucki, wcale nie był zły i dawał realną nadzieję na wypracowanie wspólnego, kompromisowego projektu zmiany konstytucji. W skrócie zakładał on, że Trybunał nadal będzie liczył 15 sędziów wybieranych indywidualnie przez Sejm większością co najmniej 3/5 głosów. Kandydat na to stanowisko musiałby mieć ukończone 40 lat i nie przekroczyć 70. roku życia, wyróżniać się wiedzą prawniczą oraz posiadać kwalifikacje wymagane do zajmowania urzędu sędziego Sądu Najwyższego lub Naczelnego Sądu Administracyjnego. Co więcej, projekt wprowadzał rygorystyczną ośmioletnią karencję od zakończenia działalności politycznej w przypadku byłych prezydentów, parlamentarzystów, członków rządu, sekretarzy i podsekretarzy stanu oraz członków statutowych organów partii politycznych.

Propozycja przewidywała także istotne zmiany w sposobie publikowania wyroków Trybunału – to prezes TK miałby zarządzać ich niezwłoczne ogłoszenie, zyskując w tym zakresie kompetencje organu wydającego Dziennik Urzędowy. Kluczowym elementem całej układanki były jednak przepisy przejściowe dotyczące obecnego składu TK. Zakładały one wygaśnięcie kadencji dotychczasowych sędziów i przejście przez nich w stan spoczynku po zakończeniu wykonywania obowiązków. Sam Bogucki dołożył do tego również projekt uchwały Sejmu wzywającej Trybunał do czasowego zawieszenia postępowań i wstrzymania czynności.

Resetowa koalicja przeciwko Tuskowi

Będąc całkowicie uczciwym: to był dobry plan, ale nie na faktyczny reset w Trybunale, lecz na projekt zmiany konstytucji, pod którym podpisałyby się wszystkie siły polityczne w Sejmie poza partiami Donalda Tuska i Włodzimierza Czarzastego. Taki był prawdziwy cel Pałacu Prezydenckiego w tych negocjacjach. Nie chodziło o sam reset, ale o stworzenie dokumentu, który postawiłby premiera Tuska w skrajnie niewygodnej sytuacji – zarówno tu, w kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Projekt uzgodniony przez niemal całą scenę polityczną stałby się gotowym pretekstem do zadawania szefowi rządu bardzo niewygodnych pytań. A wytłumaczenie, czy to w Waszyngtonie, czy w Brukseli, dlaczego premier polskiego rządu jako jedyny odrzuca kompromis, nie byłoby takie proste do wymyślenia.

Zarówno prezydent Karol Nawrocki, jak i minister Bogucki doskonale zdawali sobie sprawę – i zdają zresztą nadal – że z Donaldem Tuskiem nie można liczyć na porozumienie w żadnej

KOSINIAK-KAMYSZ NIE WIEDZIAŁ NIC O PLANOWANYM SIŁOWYM WEJŚCIU POLICJI DO TRYBUNAŁU – PREMIER ŚWIADOMIE ZATAIŁ PRZED NIM TĘ INFORMACJĘ.

eprasa.pl 02de728a82

sprawie. Bez niego jednak w obecnej kadencji Sejmu jakakolwiek propozycja resetu konstytucyjnego pozostaje jedynie płonną nadzieją na to, że Trybunał stanie się wreszcie niezależny i oddany w ręce obywateli. Parlamentarna arytmetyka jest w tej kwestii nieubłagana, a matematyka nie wybacza błędów. Zmiana ustawy zasadniczej to niezwykle wysoko zawieszona poprzeczka, ponieważ wymaga większości co najmniej 2/3 głosów w Sejmie, czyli 307 posłów, oraz bezwzględnej większości w Senacie.

Trudna misja prezesa PSL i ukryty żal

Przekonanie lidera KO do idei resetu konstytucyjnego wzięło na swoje barki PSL. Władysław Kosiniak-Kamysz podjął się tej karkołomnej misji, wiedząc doskonale, że Donaldowi Tuskowi żaden reset nie jest już do niczego potrzebny. Premier osiągnął bowiem swój cel metodą siłową, przy udziale policji przejmując gmach Trybunału i wprowadzając do niego grupę prawników, którzy – wbrew wszelkim regułom prawnym – postanowili wydawać decyzje jako Trybunał Konstytucyjny. Nie oglądają się przy tym na żadne argumenty prawne ani uchwały Sądu Najwyższego, uznając po prostu, że tak można. Dla Donalda Tuska temat TK jest w zasadzie zamknięty, a polityczny interes oraz korzystne sondaże tylko utwierdzają go w przekonaniu, że nie ma najmniejszego sensu robić kroku wstecz. Mimo to podjął tę rozgrywkę, w której jednym z pionków na szachownicy stał się właśnie Władysław Kosiniak-Kamysz.

Prezes PSL zainicjował szeroką dyskusję o resecie, składając własny projekt – który stał się punktem wyjścia do rozmów i pretekstem dla Pałacu Prezydenckiego do zwołania konsultacji w Belwederze – ponieważ miał pełne przekonanie, że sytuacja stała się niebezpiecznie poważna. Mówiąc wprost: uznał, że premier Tusk wraz z ministrami Marcinem Kierwińskim i Waldemarem Żurkiem przekroczyli Rubikon, przeprowadzając siłowe przejęcie Trybunału. Lider ludowców wie, że złamano prawo i tego, co się wydarzyło, nie da się obronić żadnym „stanem wyższej konieczności konstytucyjnej", który w polskim porządku prawnym w ogóle nie istnieje.

> TO BYŁ DOBRY PLAN, ALE NIE NA FAKTYCZNY RESET W TRYBUNALE, LECZ NA PROJEKT ZMIANY KONSTYTUCJI.

Tak samo nie da się obronić braku lojalności, jakim w tej sprawie wykazał się Donald Tusk. Prawdą jest, że Kosiniak-Kamysz nie wiedział nic o planowanym siłowym wejściu policji do Trybunału – premier świadomie zataił przed nim tę informację, za co lider PSL ma do szefa rządu ogromny żal. Wyjście ludowców z propozycją twardego resetu było więc otwartym afrontem wobec Tuska, z czego lider KO doskonale zdaje sobie sprawę. Prawdą jest też, że premier wściekł się za ten ruch na swojego koalicjanta, czemu dał wyraz zarówno w rozmowie w cztery oczy, jak i w kolejnych publicznych uszczypliwościach pod adresem prezesa PSL. Ostatecznie jednak Tusk wie, że to właśnie na Kosiniaku-Kamyszu wisi obecna większość sejmowa. Zdaje sobie sprawę, że lider ludowców jest partnerem dumnym i wrażliwym, dlatego musi ostrożnie łagodzić jego żal po akcji w Trybunale – tak, aby emisariusze, którzy w ostatnich tygodniach odwiedzali szefa MON, namawiając go do wzięcia odpowiedzialności za kraj i opuszczenia koalicji, nie dopięli swego. A było ich kilku, znajdując niejednokrotnie zrozumienie i akceptację w ocenie sytuacji u lidera PSL.

> DONALD TUSK WIE, ŻE TO WŁAŚNIE NA WŁADYSŁAWIE KOSINIAKU-KAMYSZU WISI OBECNA WIĘKSZOŚĆ SEJMOWA.

Nie będzie żadnego resetu z rządem Tuska

Wracając do nocnego przecieku – z pewnością nie był on dziełem przypadku. Co więcej, został bardzo precyzyjnie obliczony na wywołanie gwałtownej reakcji Prawa i Sprawiedliwości, które do tego momentu również wypowiadało się o resecie sceptycznie, choć delegowało swoich przedstawicieli do „resetowej koalicji" obradującej w Belwederze. Wydaje się, że medialna publikacja przypieczętowała jednak dalszy los tych rozmów.

eprasa.pl 02de728a82

Głos zabrał niemal natychmiast prezes Jarosław Kaczyński, uzależniając wprost zaakceptowanie propozycji resetu od zmiany rządu na prezydencki gabinet techniczny. Bez powołania nowego rządu rozwiązania te są dla PiS całkowicie nie do przyjęcia.

– Proponowany reset byłby wielkim sukcesem tych, którzy niszczą nasz kraj. Nie ma też żadnej gwarancji, że po tzw. resecie nie będą nadal tego robić, łamiąc konstytucję i ustawy. [...] Grubą kreskę już raz w naszej historii przerabialiśmy... Jej negatywne skutki odczuwamy do dzisiaj – stwierdził prezes PiS, zamykając tym samym na ten moment wszelkie dywagacje o realnym kompromisie i resecie w Trybunale. Nowogrodzka wysłała tym samym jasny sygnał, że nie da się rozgrywać znaczonymi kartami: jest gotowa zaakceptować różne warianty, ale jeden warunek nie podlega żadnym negocjacjom – odsunięcie Tuska od władzy.

Ktoś w tym miejscu mógłby zapytać: czy nie na taki właśnie moment i na taką reakcję czekał Donald Tusk? Miałby w tym sporo racji. Tak twarde stanowisko Prawa i Sprawiedliwości wytrąca bowiem z ręki Pałacu Prezydenckiego koronny argument o tym, że to wyłącznie obecny premier i lider KO blokuje reset w Trybunale.

Starcie przy głównym stole i scenariusz ostateczny

W tej wyrafinowanej partii politycznych szachów wokół Trybunału Konstytucyjnego w kolejnych dniach padnie zapewne jeszcze wiele ruchów. Niewykluczone, że z politycznym błogosławieństwem prezydenta Nawrockiego uda się nawet wypracować wspólny projekt konstytucyjnego resetu, ale pozostanie on wyłącznie na papierze – jako gotowa opcja na czas, gdy w Polsce zmieni się władza, czego dziś nikt nie może być pewny. Jesteśmy zatem świadkami bezwzględnej gry na wielu poziomach, a jej uczestnicy zasiadający do stołu w Belwederze bardziej kalkulują, ile politycznych korzyści mogą ugrać dla siebie, niż jak powstrzymać trwający od kilku tygodni zamach na konstytucyjne instytucje państwa. W obliczu arytmetycznego pata i braku matematycznych szans na zmianę ustawy zasadniczej partiom i ich liderom nic innego zresztą nie pozostaje. Każdy gra więc na siebie, próbując przekonać opinię publiczną, że to właśnie on – wbrew innym – chce odbudować demokratyczny i wolny od nacisków Trybunał, podczas gdy winę za paraliż ponoszą wyłącznie rywale.

WYJŚCIE LUDOWCÓW Z PROPOZYCJĄ TWARDEGO RESETU BYŁO OTWARTYM AFRONTEM WOBEC TUSKA.

Prawdziwa rozgrywka rozegra się jednak przy głównym stole, przy którym naprzeciwko siebie siedzą prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk. Szef rządu doskonale wie, po co jest mu Trybunał Konstytucyjny, i ma świadomość, że dysponując policją oraz prokuraturą, może pójść znacznie dalej – po kolejne kluczowe instytucje państwa, takie jak Sąd Najwyższy czy Narodowy Bank Polski. Tusk widzi, że dziś nikt, nawet głowa państwa, nie jest w stanie zatrzymać go w tym marszu. Bo niby w jaki sposób? Wydarzenia z nocy 30 października pod gmachem Trybunału pokazały dobitnie, że mimo natychmiastowego powrotu do kraju i ominięcia policyjnych kordonów prezydent Nawrocki niczego nie zdołał powstrzymać. Policja wciąż stoi przed budynkiem TK, a w środku orzekają osoby, które choć wybrane przez Sejm, to nigdy nie złożyły ślubowania przed prezydentem. Dziś Karol Nawrocki nie ma w ręku wystarczająco mocnych kart, by zmusić rząd do odwrotu – gdyby je miał, gabinet Tuska musiałby się cofnąć, a tak się przecież nie stało.

Skoro więc rządowi udało się z Trybunałem, to co powstrzyma go przed pójściem o krok dalej – nawet po urząd Prezydenta RP, poprzez zakwestionowanie wyniku wyborów? Czy to scenariusz zupełnie niemożliwy? Oby tak było, choć ostatnie wydarzenia pokazują, że nie jest on ani nierealny, ani niewykonalny. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę sam prezydent Nawrocki, który już dziś musi mieć gotowy precyzyjny plan działania nawet na tak ekstremalny wariant. Ma do tego pełny mandat społeczny, czego dobitnym dowodem był choćby niedawny Marsz Niepodległości.

JAROSŁAW KACZYŃSKI UZALEŻNIA ZAAKCEPTOWANIE PROPOZYCJI RESETU OD ZMIANY RZĄDU NA PREZYDENCKI GABINET TECHNICZNY.

eprasa.pl 02de728a82



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Człowiek o nadludzkich mocach

Mimo fatalnych rządów, wywołania chaosu i bałaganu, coraz gorszych perspektyw, wszechobecnego kłamstwa oraz cynizmu notowania Donalda Tuska utrzymują się na **stałym poziomie**. Nawet jeśli przybywa mu przeciwników, to jego fanatyczni zwolennicy ciągle widzą w nim jedyną ostoję europejskości i nowoczesności. Tamę, która z trudem powstrzymuje napór ciemnej siły zła.

Mariusz Staniszewski

Uwielbienia, którym darzony jest Donald Tusk, nie da się wytłumaczyć racjonalnie, bo ta władza jest całkowicie nieracjonalna. Określając swoje cele, nie postawiła na modernizację państwa i rozwój, ale uznając rządy PiS za okres powszechnej zbrodni, skupiła się na wymazaniu tych ośmiu lat gospodarczego i społecznego sukcesu ze wspólnej świadomości.

Nie chodziło o same rozliczenia, ale udowodnienie, że prawica w Polsce nie może dobrze rządzić, gdyż z samej swej istoty jest destrukcyjna i nieudolna. Negacja

eprasa.pl 02de728a82

stosowana przez ekipę Tuska musiała więc objąć każdą dziedzinę życia i sprawowania władzy, nawet te, w których obecny rząd kontynuował politykę poprzedników. Celem jest przeprowadzenie operacji wybiórczej amnezji, która ma objąć lata 2015–2023. Zamiast własnych przeżyć i doświadczeń obywatele mają przyjąć interpretację ówczesnej rzeczywistości przygotowanej przez obecną władzę.

Wydaje się to absurdalne, gdyż z racjonalnego punktu widzenia jest niemożliwe. Jednak jedna trzecia Polaków zatopiła się w tej opowieści bez reszty i chłonie ją każdego dnia każdym porem swojego ciała. Aby więc zrozumieć, kim rzeczywiście dla liberalno-lewicowych wyborców jest obecny premier, trzeba wejść na poziom bałwochwalstwa. Tylko wówczas, gdy odrzucimy logikę i staniemy po tej samej stronie lustra, po której stoją fanatyczni wyborcy Tuska, będziemy w stanie poczuć te emocje. Ten dreszcz radości z posiadania takiego lidera, ale także strachu, że może zostać pokonany.

Spróbujmy więc wyobrazić sobie takiego tuskowego fundamentalistę, który wieczorem siada przy biurku i pisze list do swojego wodza, by wlać w jego serce nieco otuchy oraz dodać mu sił w dalszych zmaganiach z nieokrzesaną prawicą, dla której poparcie wzmaga się niczym kulminacyjna fala podczas powodzi.

NEGACJA STOSOWANA PRZEZ EKIPĘ TUSKA MUSIAŁA OBJĄĆ KAŻDĄ DZIEDZINĘ ŻYCIA I SPRAWOWANIA WŁADZY, NAWET TE, W KTÓRYCH OBECNY RZĄD KONTYNUOWAŁ POLITYKĘ POPRZEDNIKÓW.

Wielce Szanowny Panie Premierze!

Ośmielam się napisać do Pana, gdyż widzę codzienną Pana udrękę oraz wielkie brzemię, które spoczywa na Pana barkach. Gdy uświadamiam sobie, że ten trudny do wyobrażenia ciężar i odpowiedzialność nosi Pan samotnie, bez niczyjej pomocy, to przepełnia mnie uczucie wdzięczności za to ogromne poświęcenie.

My, zwykli ludzie, którzy nosimy w sercu lepszą Polskę, tę wolną od katolickiego zacofania, oddychającą pełną piersią europejskim powietrzem, nieskrępowaną zaściankową moralnością rodem ze średniowiecza, wyzwoloną z więzów tradycji narodowych klęsk i bezsensownych powstań nigdy nie zdołamy się odwdzięczyć za trud, który każdego dnia wkłada Pan w powstrzymanie brunatnej nawały nadciągającej na nasz kraj.

Chylimy przed Panem głowy za codzienne stawianie czoła temu wykwitowi prawicowej patologii, który śmie nazywać siebie prezydentem. Doceniamy wysiłki i zabiegi, które miały doprowadzić do niedopuszczenia tego alfonsa, kibola i gangstera do zaprzysiężenia. Niestety znów się okazało, że zdrada przychodzi z najmniej spodziewanej strony. Nikt nie mógł przewidzieć, że ta dwulicowa kreatura, która zawdzięcza Panu wszystko, okaże się nielojalna i przyjmie ślubowanie od tego żałosnego Batyra, człowieka ze społecznych nizin, którego miejsce jest na ustawce, a nie w pałacu. Z tym większą radością obserwujemy, jak poniża Pan tego Kało... to znaczy Hołownię, przy każdej możliwej okazji. Ten chłystek nie tylko nie dorósł do znalezienia się na szczytach władzy, ale też nigdy nie uzyska od nas rozgrzeszenia. To mogę Panu solennie obiecać.

Tylko dzięki Pana stanowczości, przebiegłości, sprytowi i doświadczeniu ten PiS-owski pomiot musi przez cały czas trzymać się na baczności. Jakże wielka jest Pana mądrość, skoro potrafi Pan omijać jego weta i wyrzucać do kosza jego nieudolne projekty ustaw. Jakże wspaniale jest oglądać jego głupią minę, gdy drwi Pan z jego pomysłów.

Bardzo współczujemy, że musi Pan ściskać dłoń tego prymitywa. Za każdym razem, gdy ośmiela się kierować pod adresem rządu czy Pana osobiście słowa krytyki, czujemy wręcz fizyczny ból. Nie możemy znieść, że tak podła postać, wręcz wcielone zło, zostało wyniesione tak wysoko. Wszak zaszczyty w sposób naturalny przynależą się nam – wyższej kaście polskiego społeczeństwa. Ludziom wolnym, a nie potomkom pańszczyźnianych chłopów z zapyziałych wsi, którzy z niezrozumiałych powodów roszczą sobie pretensje, by być nam równi.

Kto lepiej od Pana – człowieka bywałego na europejskich i światowych salonach, który może nazywać przyjaciółmi najwybitniejsze postacie Unii Europejskiej – lepiej dostrzeże nietakt w przekonaniu tego alfonsa, że może uznawać się za równego ludziom takim jak Pan.

eprasa.pl 02de728a82

Ani kroku wstecz

Szanowny Donaldzie, niech mi wolno będzie tak się do Pana zwracać, gdyż zaszczytem jest dla mnie samo pomyślenie, że będziesz czytał te słowa. Pamiętaj, Wodzu nasz, że zawsze stoimy za Tobą murem. Z radością przyjmujemy wszystkie słowa, które wskazują temu zacofanemu motłochowi jego miejsce.

Naszym wspólnym zadaniem jest ich chłostać każdego dnia, by nigdy nie zdołali podnieść głów. Płonne były nasze nadzieje, że zdołamy tę gawiedź oświecić i wprowadzić do grona nowoczesnych narodów europejskich. Oni – jak ich przodkowie – rozumieją tylko język knuta. Nie wolno im go szczędzić, gdyż od zbytniej wolności przewraca im się w zakutych łbach.

Oczywiście rozumiemy, że w swojej mądrości i przenikliwości musisz czasem, nasz wspaniały Przywódco, przymilać się do tego pospólstwa, by zyskać ich głosy i poklask. Na szczęście ich umysły są na tyle wąskie i płaskie, że tego nie rozumieją. Ciągle żyją nadzieją, że kiedyś przyjmiemy ich w swoje szeregi i uznamy równymi sobie. Nigdy do nich nie dotrze, że są użyteczni tylko wówczas, gdy po prostu wykonują polecenia. Poza tym my i tak lepiej wiemy, co jest dla nich dobre, więc musimy ich trzymać pod butem i tylko mamić obietnicami lepszej przyszłości.

Kto zresztą, nasz Kapitanie, wie to lepiej od Ciebie? Nie masz sobie równych w mówieniu tego, co oni akurat chcą usłyszeć. Klaszczą przekonani, że odkrywasz przed nimi nowe kręgi Nieba, tylko dlatego że sami nie potrafią myśleć. Są jak dzieci, które trzeba prowadzić za rękę i wskazywać, kto jest dobry, a kto zły. Ty jesteś dla nich ojcem, któremu wierzą bezgranicznie.

Wiem, jak bardzo to musi być dla Ciebie męczące, i rozumiem pogardę, którą do nich czujesz. Moje refleksje są podobne, ale w imię wyższego dobra musisz, Wodzu, zdusić w sobie to obrzydzenie i dalej podążać tą drogą. Tylko ona prowadzi nas do zwycięstwa. Nie powinieneś przystanąć nawet na krok, bo czarno-brunatne siły zła czyhają na każdą oznakę słabości. Nie ustawaj więc w walce z tą prawicową ciemnotą.

Nie okazuj litości

Wiem, że wielu uważa Twoje działania za zbyt radykalne. Potępia za łamanie prawa, zasad i konstytucji. Nie możesz jednak, nasz Przywódco, ani na moment zapomnieć, że prawo i historię piszą zwycięzcy. A Ty jesteś jak Attyla, który prowadzi swoje zastępy od wiktorii do wiktorii.

W czasie, gdy prawicowa hydra podnosi głowę, nie wolno Ci oglądać się na drobiazgi i niuanse. Istotny jest cel, a ten jawi się wyjątkowo klarownie. Nie wolno ponownie oddać władzy tej cuchnącej tłuszczy, która ośmiela się myśleć, że ten kraj można urządzić inaczej.

Polska jest nasza i tylko nasza. Oni co najwyżej mogą tu pracować, rozmnażać się i pić na umór w sobotnie wieczory. Do niczego innego nie są ani zdolni, ani przeznaczeni. Jak ich przodkowie są stworzeni do służenia.

Od nadmiaru tolerancji i wyrozumiałości przewróciło im się w głowie, dlatego sądzą, że nas i ich obowiązują te same zasady. Na szczęście Ty niemal każdego dnia udowadniasz im, że jest inaczej.

Twoja zuchwałość i bezkompromisowość budzą podziw nie tylko w naszych szeregach, ale także za granicą. Potrafię sobie wyobrazić, jak bolesne dla Ciebie muszą być częste ostatnio słowa krytyki. Ci ludzie nie doceniają wielkości dzieła, którego dokonałeś. Nie rozumieją, że w walce o oświeconą Polskę i Europę nie wolno okazywać litości i przebaczenia. Za nami stoi prawdziwa siła, więc musimy zwyciężyć.

> ABY ZROZUMIEĆ, KIM RZECZYWIŚCIE DLA LIBERALNO-LEWICOWYCH WYBORCÓW JEST OBECNY PREMIER, TRZEBA WEJŚĆ NA POZIOM BAŁWOCHWALSTWA.

Dlatego nie zważaj na prawo, krzyczących mądrali, niewdzięcznych pismaków i tych żałosnych ekspertów od prawa. Ile oni mają zastępów policji z pałkami i gazem? Żadnego! Potrafią tylko paplać i pouczać. Mamy tego dosyć i cieszymy się, jak szarpiesz, Wodzu, cuglami. Wielką radość sprawia nam słuchanie ich wycia, gdy Ty zdobywasz i przejmujesz kolejne instytucje. Nie zważaj na metody, choćby były najbardziej brutalne. Prawo jest dla nas, im należy się pała.

Kończąc powoli mój list, który mam nadzieję krzepi Twoje serce, pragnę wyrazić dumę z tego, że stoisz na czele lepszej Polski. Nikt inny nie jest w stanie zrozumieć powagi sytuacji, w której się znaleźliśmy. Tylko Ty jesteś w stanie prowadzić nas do wzniosłej przyszłości. Gdy wreszcie się spełni, będziemy mogli spojrzeć w oczy narodom Europy Zachodniej i powiedzieć, że jesteśmy godni nazywać się Europejczykami.

eprasa.pl 02de728a82

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

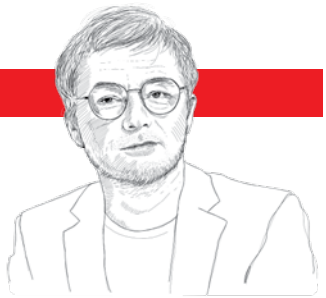

Niemcy i Polacy, czyli partnerzy

Jan Wróbel

Niemcy Zachodnie, rok 1950. Parlament świeżo utworzonej republiki federalnej protestuje przeciwko układowi granicznemu dwóch socjalistycznych państw, czyli NRD i Polski: „Tzw. rząd strefy radzieckiej nie miał prawa przemawiać w imieniu niemieckiego narodu. Wszystkie jego porozumienia i ustalenia są nieważne [null und nichtig]. Decyzje dotyczące czasowo podległych polskiej i radzieckiej administracji obszarów wschodnich będą dopiero podjęte w układzie pokojowym zawartym z Niemcami jako całością. Niemiecki rząd federalny, reprezentując cały niemiecki naród, nigdy nie pogodzi się z odebraniem tych czysto niemieckich obszarów".

Bardzo, jak to się mawiało w propagandzie PRL-owskiej, rewizjonistyczne. Żadnego uznawania granicy postanowionej w Poczdamie! Ta twarda postawa może zadziwiać – raptem pięć lat po przegranej i strasznej wojnie. Można z przekąsem powiedzieć, że historia sprzyjała marzeniom rewizjonistycznym. Naprawdę zagrażał Zachodowi sowiecki Wschód i naprawdę NRD oraz Polska stanowiły jego część. A RFN bratał się z Zachodem. Mógł być śmiały wobec Warszawy.

Polska (komunistyczna) propaganda dwoiła się i troiła, aby wykorzystać zachodnioniemieckie deklaracje – tę i kolejne. Przynajmniej w tej sprawie propaganda odwoływała się do twardych faktów, a nie do komunistycznych urojeń. Tyle że nie osiągnęła dużo. Zbyt wiele miała na sumieniu kłamstw, by trafiać do polskich serc nawet wtedy, kiedy mówiła prawdę.

Zwrot akcji przyniosła nowa polityka wschodnia RFN, zapoczątkowana przez kanclerza Willy'ego Brandta, a także nauczanie polskiego Kościoła, który bezkompromisowy w sprawie granicy, w dziedzinie sumienia nawoływał do przebaczania i braterskiego zrozumienia. Rządy PRL zostały zepchnięte na margines zmagań o postawy, chociaż realną władzę wciąż miały.

W jakim miejscu jesteśmy dzisiaj, Anno Domini 2026? Dawno przezwyciężony rewizjonizm niemiecki dostaje od nowych elit, związanych z AfD, zielone światło. Na razie tylko w sferze pojedynczych (dawanych na próbę?) wypowiedzi. Nasz premier robi wrażenie, jakby było oczywistą oczywistością, że polityka polska powinna uwzględniać interesy Niemiec jako niezbywalną część własnej agendy. Spora część prawicy, pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego, uderza za to w archaiczne tony wrogości wobec niemieckiego partnera, zupełnie jakby ten wciąż przemawiał językiem z 1950 roku.

I w tej sprawie – stosunku do Niemiec – przydałby się reset. Patriotyczny, realistyczny, odważny. Uwaga, bo „odważny" oznacza, prawdopodobnie, afirmatywny wobec tego, co dobrego płynie dla Polski ze szczególnego znaczenia Niemiec dla Polski i Polski dla Niemiec. O to, by to szczególne znaczenie było faktem, a nie publicystycznym ble, ble, trzeba skutecznie zabiegać. Demagogia na temat wielkiej przyjaźni jest tak samo pusta, jak demagogia na melodię „nie będzie Niemiec Polakowi bratem". S

NIE POMOGĄ NAM ARCHAICZNE TONY WROGOŚCI WOBEC NIEMIEC.

eprasa.pl 02de728a82

II FORUM SAMORZĄDOWE W ZAKOPANEM



Fot. Instytut Studiów Wschodnich

O przyszłości regionów, inwestycjach i warunkach pracy

W dniach 7–8 grudnia w stolicy polskich Tatr odbędzie się II Forum Samorządowe. Do Zakopanego przyjedzie ponad **1100 przedstawicieli** samorządów, biznesu, nauki oraz administracji rządowej, by rozmawiać o kluczowych wyzwaniach lokalnych wspólnot – od ochrony zdrowia i finansowania oświaty, po transformację energetyczną oraz tworzenie godnych warunków życia i pracy.

Konrad Wernicki

Początek grudnia w Zakopanem upłynie pod znakiem merytorycznej debaty o kondycji i przyszłości Polski lokalnej. II Forum Samorządowe to przestrzeń do podsumowania mijającego roku oraz wypracowania konkretnych planów na kolejne dwanaście miesięcy przez liderów jednostek samorządu terytorialnego.

Drugi raz w Zakopanem

Program tegorocznej edycji jest niezwykle rozbudowany – obejmuje około stu paneli dyskusyjnych, rozmów oraz spotkań autorskich. Całość podzielono na siedem głównych obszarów tematycznych: Polityka i Bezpieczeństwo, Gospodarka i Finanse, Inwestycje i Zarządzanie, Rozwój Regionalny, Społeczeństwo i Zdrowie, Przyjazny Samorząd, a także specjalny Salon Przemysłu Turystycznego.

UDZIAŁ W KONFERENCJI TO DLA LOKALNYCH LIDERÓW OKAZJA DO WYMIANY PRAKTYCZNYCH DOŚWIADCZEŃ.

– Poza debatami zaplanowaliśmy cykl spotkań z autorami, historykami, publicystami i naukowcami: o historii Polski, współczesnej polityce, sztucznej inteligencji oraz o Zakopanem i Podhalu, ich historii, mitach i przemianach góralskiej tożsamości – zapowiada Zygmunt Berdychow-

eprasa.pl 02de728a82



ski, przewodniczący Rady Programowej wydarzenia.

Dialog fundamentem rozwoju

Głównym partnerem Forum jest Województwo Małopolskie, a rolę miasta gospodarza pełni Zakopane. Samorządowcy z południa Polski podkreślają, że kluczem do sprawnego zarządzania regionem jest bezpośrednia rozmowa, wymiana doświadczeń i partnerstwo ponad podziałami.

– Wspieramy wydarzenia, które łączą ludzi i idee, pozwalając wspólnie budować nowe rozwiązania wzmacniające region. Chcemy rozmawiać o tym, co ważne, z przedstawicielami samorządu na każdym szczeblu, bo wspólnie tworzymy jeden zespół dbający o mieszkańców – podkreśla marszałek województwa małopolskiego Łukasz Smółka.

Marszałek zwraca szczególną uwagę na wymiar społeczny i gospodarczy podejmowanych w samorządach działań: – Naszym celem jest zapewnienie Małopolanom jak najlepszych warunków do życia i pracy. Stawiamy na dialog dla dobrej współpracy, bo to jest solidny fundament dla dalszego dynamicznego rozwoju Małopolski.

WŚRÓD WIODĄCYCH TEMATÓW ZNAJDĄ SIĘ KWESTIE FINANSOWANIA OŚWIATY, FUNKCJONOWANIA OCHRONY ZDROWIA I BEZPIECZEŃSTWA LUDNOŚCI.

Oświata, zdrowie i bezpieczeństwo na pierwszym planie

Tegoroczne obrady w Zakopanem skoncentrują się na sprawach bezpośrednio dotykających codziennego bytu obywateli oraz pracowników sektora publicznego. Wśród wiodących tematów znajdą się kwestie finansowania oświaty, funkcjonowania ochrony zdrowia, bezpieczeństwa ludności, planowania przestrzennego oraz wyzwań związanych z transformacją energetyczną i zwiększaniem atrakcyjności inwestycyjnej regionów.

Udział w konferencji to dla lokalnych liderów okazja do wymiany praktycznych doświadczeń – od wójtów i burmistrzów, po przedstawicieli administracji centralnej. Wysoką rangę wydarzenia potwierdza ubiegłoroczna, premierowa edycja, która zgromadziła ponad 60 partnerów biznesowych, medialnych i instytucjonalnych oraz ponad 400 samorządowców z całego kraju (w tym trzech marszałków województw, 10 prezydentów miast, 19 starostów, 68 burmistrzów i 86 wójtów).

Organizatorem Forum Samorządowego jest Fundacja Instytut Studiów Wschodnich – znana z organizacji Forum Ekonomicznego w Karpaczu oraz Europejskiego Kongresu Samorządów w Mikołajkach.

Fundacja Promocji Solidarności została Partnerem Instytucjonalnym Forum, a „Tygodnik Solidarność” i portal Tysol.pl obejmą nad wydarzeniem patronat medialny.

Więcej informacji na stronie forum-samorzadowe.pl.

eprasa.pl 02de728a82



Strzały, pytania, cisza

Proj. K. Karnkowski

Najpierw dramat, który wstrząsnął całą Polską. Chwilę później pytania o obecność służb na miejscu zdarzenia. Władza uznała je za atak, wyprowadziła więc na krytykujących **kontratak** z użyciem wszystkich możliwych sił, w tym moralnego potępienia i prokuratorskich śledztw. Znaki zapytania jednak nie znikły, pojawił się natomiast jeszcze jeden: czy w Polsce pod rządami tej władzy wolno nam jeszcze zadawać pytania o nasze własne bezpieczeństwo?

Krzysztof Karnkowski

W sobotę, 7 listopada, około godziny 15.00 24-letni Michał Oksiński, mieszkaniec Ostrowca Świętokrzyskiego, wjechał czarnym subaru na krakowski Rynek Główny i otworzył ogień z broni długiej do przypadkowych przechodniów. Strzelając do uciekających ludzi, przemieszczał się przez centrum miasta, a na Placu Wszystkich Świętych ostrzelał również tramwaj linii nr 1. Za napastnikiem ruszył policyjny radiowóz, do którego dołączyła straż miejska. Pościg zakończył się na skrzyżowaniu ulic Dietla i Stradomskiej, gdzie samochód sprawcy zderzył się z innym pojazdem. Podczas wymiany ognia dwóch

eprasa.pl 02de728a82

interweniujących policjantów zostało ciężko rannych, zdołali jednak obezwładnić zamachowca. Całe zdarzenie trwało zaledwie kilka minut, pozostawiając po sobie sześć ofiar śmiertelnych i piętnaścioro rannych. Wkrótce wyszło na jaw, że tragedia miała również wcześniejszy, równie makabryczny rozdział. W mieszkaniu sprawcy w Ostrowcu Świętokrzyskim znaleziono ciała jego rodziców i 21-letniej siostry, których według ustaleń śledczych zamordował przed wyjazdem do Krakowa. Sam Oksiński, postrzelony podczas policyjnej interwencji, zmarł 9 listopada w szpitalu. Łącznie jego ofiarą padło dziewięć osób. I choć nikt (z jednym niechlubnym wyjątkiem lewicowego aktywisty żądającego zbadania przez prokuraturę zasadności środków użytych podczas interwencji) nie odmawia bohaterstwa dwóm bezpośrednio zaangażowanym w tę akcję funkcjonariuszom, pojawiło się wiele pytań o obecność policji na krakowskim Rynku.

POJAWIŁO SIĘ WIELE PYTAŃ O OBECNOŚĆ POLICJI NA KRAKOWSKIM RYNKU.

Kij się zawsze znajdzie

Jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy znaleźli się na miejscu tragedii, był Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny TV Republika, uczestniczący wcześniej w odbywającej się kilkaset metrów dalej manifestacji w obronie Trybunału Konstytucyjnego. Już około godziny 15.20, gdy inne duże stacje nadawały jeszcze zwykły program, relacjonował na żywo sytuację na Rynku Głównym. Opisywał leżące na ulicach ofiary, chaos, dezorientację przechodniów i działania strażników miejskich oraz ratowników. „Nie wiadomo, gdzie jest policja. Uciekli albo pilnują Warszawy" – alarmował, sugerując związek sytuacji z przerzuceniem policyjnych sił do stolicy, w której trwała operacja wokół Trybunału Konstytucyjnego. W pierwszych doniesieniach pojawiła się również niepotwierdzona informacja o możliwym udziale cudzoziemców w strzelaninie. Obraz chaosu i przerażenia wyłaniał się także z pierwszych relacji innych mediów, w tym Onetu, którego reporterka opisywała uciekających ludzi i świadectwa przypadkowych obserwatorów, choć informowała również o policyjnym pościgu za napastnikiem. Sakiewicz przekonywał później, że opisywał sytuację w konkretnym miejscu i czasie, a jego uwagi nie odnosiły się do dwóch policjantów, którzy w tym samym momencie, około kilometra dalej, z narażeniem życia zatrzymywali sprawcę.

Wypowiedzi szefa Republiki wywołały gwałtowną krytykę czujnych i licznych przeciwników stacji. W mediach społecznościowych zaczęło krążyć nagranie, na którym jeden ze świadków zarzuca Sakiewiczowi opowiadanie bzdur, podczas gdy za plecami dziennikarza widać funkcjonariusza policji. Krytycy wskazywali, że mężczyzna, ubrany wprawdzie po cywilnemu, miał na ramieniu policyjny emblemat, a zatem twierdzenie o nieobecności choćby jednego policjanta było nieprawdziwe. Jeszcze poważniejszym, choć manipulatorskim, zarzutem stało się zestawienie słów Sakiewicza z nagraniami bohaterskiej interwencji dwóch młodych funkcjonariuszy. Dziennikarzowi zarzucano podważanie ich poświęcenia, wykorzystywanie tragedii do bieżącej walki politycznej i rozpowszechnianie dezinformacji. Wskazywano również na podaną w pierwszych minutach niepotwierdzoną później informację o cudzoziemcach. Krytyka szybko wykroczyła poza zwykłą polemikę między redakcjami. Włączyli się do niej politycy, przedstawiciele władz oraz organizacje dziennikarskie, domagając się wyciągnięcia konsekwencji wobec Republiki. Oczywiście najmocniej wypowiadali się ci, dla których stacja jest utrapieniem – jako wyraziciel opinii opozycji lub ideowa i polityczna zarazem konkurencja. Tymczasem wielu konserwatywnych dziennikarzy, często związanych z Krakowem, zaczęło stawiać kolejne pytania i wykazywać co najmniej brak konsekwencji w niektórych oficjalnych informacjach.

NAJMOCNIEJ WYPOWIADALI SIĘ CI, DLA KTÓRYCH REPUBLIKA JEST UTRAPIENIEM.

Zasadne pytania

Wojciech Mucha, dziennikarz i publicysta dobrze znający Kraków, zaczął analizować dostępne zdjęcia i nagrania, wskazując, że nawet kilkanaście czy kilkadziesiąt minut po zatrzymaniu zamachowca na Rynku widać przede wszystkim pojazdy straży

eprasa.pl 02de728a82

miejskiej, nie zaś liczne policyjne radiowozy. Zwracał uwagę, że samo unieszkodliwienie sprawcy nie kończyło zagrożenia, skoro przez pewien czas krążyły informacje o możliwym drugim napastniku. Pytał również o wsparcie dla dwóch rannych policjantów. Na miejscu finałowej strzelaniny pomocy udzielali im bowiem przypadkowi przechodnie i dwaj chirurdzy, którzy wybiegli z pobliskiej restauracji. Mucha przywołał też relację świadka opublikowaną przez „Newsweek" wskazującą na długi czas oczekiwania na karetkę. Wszystko to zestawiał z oficjalnymi informacjami o skierowaniu do akcji trzydziestu patroli policyjnych. Gdzie znajdowali się pozostali funkcjonariusze, kiedy dotarli na poszczególne miejsca tragedii i dlaczego na nagraniach przez dłuższy czas ich nie widać? Osobnym problemem była kwestia dostępności oddziałów antyterrorystycznych, które powinny być zdolne do błyskawicznej interwencji w centrum miasta. Jeszcze ciekawiej zrobiło się, gdy dziennikarze „Niezależnej" uzyskali od policji dane dotyczące zabezpieczenia Krakowa w dniu zamachu. Wynikało z nich, że w godzinach bezpośrednio poprzedzających tragedię rozległy obszar Starego Miasta patrolowało zaledwie dziesięciu funkcjonariuszy w pięciu mobilnych patrolach, wspieranych przez obsadę dwóch posterunków. Jak podkreślali Wojciech Mucha i Marcin Dobski, mowa nie o samym Rynku i najbliższych ulicach, lecz o całej pierwszej dzielnicy Krakowa, obejmującej także Kazimierz, Wawel, okolice Dworca Głównego i rozległe tereny historycznego śródmieścia. W całym Krakowie służbę prewencyjną pełniło tego dnia 128 policjantów, podczas gdy do Warszawy skierowano aż 141 funkcjonariuszy krakowskiego Oddziału Prewencji Policji. Policyjne kierownictwo zareagowało na publikację zarzutem manipulowania informacjami, wskazując, że chodzi o dwie odrębne formacje, a podawana liczba 128 nie obejmuje wszystkich funkcjonariuszy pracujących w mieście. Rzecz jednak w tym, że dziennikarze zacytowali właśnie dane otrzymane od policji, co wykazali, publikując korespondencję z rzeczniczką komendy. Co więcej, niemal identyczne informacje pojawiły się następnie w Onecie. Sam fakt oddelegowania 141 policjantów do Warszawy został natomiast oficjalnie potwierdzony. Nadal pozostawało więc pytanie, czy przesunięcia sił związane z wydarzeniami w stolicy miały jakikolwiek wpływ na możliwości zabezpieczenia Krakowa.

> W CAŁYM KRAKOWIE SŁUŻBĘ PREWENCYJNĄ PEŁNIŁO TEGO DNIA 128 POLICJANTÓW, PODCZAS GDY DO WARSZAWY SKIEROWANO AŻ 141 FUNKCJONARIUSZY.

Wątpliwości dotyczyły już nie tylko rozmieszczenia policji, lecz całego systemu zarządzania kryzysowego. Miłosz Lodowski wskazywał na brak ostrzeżenia mieszkańców za pomocą alertu RCB, mimo że przez centrum miasta przemieszczał się uzbrojony napastnik, a początkowo nie było pewności, czy działał sam. Brak takiego komunikatu potwierdziło RCB, wyjaśniając, że żadna z uprawnionych instytucji nie zwróciła się o jego wysłanie. Lodowski przytaczał również relacje uczestników pobliskiej manifestacji, którzy nie otrzymali od obecnych tam policjantów jasnych instrukcji dotyczących zagrożenia. Zwracał uwagę na szczególny kontrast między poświęceniem pojedynczych funkcjonariuszy, lekarzy, strażników miejskich i zwykłych obywateli a pytaniami o przygotowanie struktur państwa do podobnych wydarzeń. W tym ujęciu bohaterstwo dwóch młodych policjantów nie tylko nie wyklucza krytycznej oceny organizacji służb, lecz wręcz nakazuje sprawdzić, czy w krytycznym momencie nie zostali pozostawieni bez dostatecznego wsparcia. Małopolska policja zarzuciła dziennikarzom manipulację, zapewniając, że liczba funkcjonariuszy zabezpieczających Kraków była wystarczająca, a twierdzenia o zaledwie 128 policjantach w całym mieście są nieprawdziwe. Problem w tym, że autorzy publikacji wyraźnie pisali o funkcjonariuszach pełniących służbę prewencyjną, cytując dosłownie odpowiedź otrzymaną od rzeczniczki komendy. Na dowód opublikowali całą korespondencję. Policja tłumaczyła natomiast, że w rzeczywistości służbę pełnili również funkcjonariusze innych pionów, których liczby nie może ujawnić. Kolejne oficjalne wyjaśnienia nie zakończyły więc dyskusji, pokazując raczej, jak łatwo spór o konkretne pytania i liczby przekształca się w spór o intencje stawiających je dziennikarzy.

Bezpieczeństwo przegrywa z polityką

I tu dochodzimy do kwestii znacznie poważniejszej niż relacja Sakiewicza. Czy zadaniem mediów jest zadawanie pytań o rzeczywiste bezpieczeństwo obywateli również wtedy, gdy

eprasa.pl 02de728a82

odpowiedzi okazują się niewygodne dla rządzących? Czy raczej powinny one chronić społeczne poczucie bezpieczeństwa, nie podważając oficjalnych zapewnień i unikając informacji mogących zaszkodzić wizerunkowi państwa? Historia europejskiego dziennikarstwa zna już podobny konflikt. W 1962 roku zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel" opublikował materiał „Bedingt abwehrbereit" wskazujący na poważne niedostatki gotowości Bundeswehry do odparcia sowieckiej agresji. Rząd Konrada Adenauera odpowiedział oskarżeniami o zdradę państwa, przeszukaniem redakcji i aresztowaniem dziennikarzy, w tym wydawcy Rudolfa Augsteina. Afera doprowadziła do masowych protestów w obronie wolności prasy i kryzysu rządowego. Choć sprawa dotyczyła również ujawnienia tajemnic wojskowych, a więc miała zupełnie inny ciężar prawny, postawiła fundamentalne pytanie: czy większym zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa jest ujawnienie jego słabości, czy samo istnienie tych słabości? Ostatecznie stała się jednym z najważniejszych wydarzeń kształtujących zachodnioniemieckie standardy wolności prasy.

Oczywiście odpowiedzialność za słowo w chwilach społecznego wstrząsu jest ważna. Nie oznacza to jednak, że każda krytyczna informacja wywołuje panikę, tak jak nie każda informacja zgodna z oficjalnym stanowiskiem władz służy uspokojeniu nastrojów. Warto przypomnieć wydarzenia sprzed zaledwie miesiąca, gdy po kilku brutalnych atakach w szkołach media i politycy przez wiele dni zajmowali się zagrożeniem ze strony młodocianych nożowników. Premier zwoływał kolejne narady, informowano o tysiącach policjantów skierowanych do ochrony placówek, kontrolach, zatrzymaniach i radykalizacji młodzieży. Część mediów dodatkowo rozpowszechniała sensacyjne, niepotwierdzone doniesienia o zapowiadanym „krwawym piątku". Rząd równocześnie prostował pogłoski o zorganizowanej akcji i przedstawiał własne działania jako odpowiedź na realne zagrożenie. W ten sposób bezpieczeństwo stało się jednym z najważniejszych tematów debaty publicznej, a dramatyczne wydarzenia posłużyły również za argument w sporze o nowe uprawnienia państwa do ingerowania w treści internetowe. W naszej spolaryzowanej sferze medialnej więcej uwagi poświęcono dziennikarskim pytaniom o policyjne zabezpieczenie Krakowa niż odpowiedziom na nie. Wbrew psychologicznemu know-how nagłaśniano też wiadomości o sprawcy, tak samo jak w przypadku wcześniejszych niebezpiecznych zdarzeń, choć wielu psychologów jest tu zgodnych – to takie sytuacje najbardziej ośmielają naśladowców, co prowadzi do powielania aktów przemocy. Wiele wskazuje na to, że władza gotowa jest narazić nas na kolejne dramaty, ponieważ nauczyła się czerpać z nich polityczne zyski. S

WIĘCEJ UWAGI POŚWIĘCONO DZIENNIKARSKIM PYTANIOM O POLICYJNE ZABEZPIECZENIE KRAKOWA NIŻ ODPOWIEDZIOM NA NIE.

STAROŚĆ MICHALSKI



eprasa.pl 02de728a82

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Niepodległa. Czy aby na pewno?

Zdzisław Krasnodębski

Wielkim marszem 11 listopada Polacy uczcili swoją niepodległość. Odzyskaliśmy ją po 123 latach. Ale – jak wiadomo – niepodległość trwała krótko, tylko dwadzieścia lat. Jakże ogromna była tragedia pokolenia, które odzyskało wolną Polskę, by tak szybko ją utracić. Świadectw tej tragedii – relacji, pamiętników czy dzieł literackich, takich jak „Ziele na kraterze" Melchiora Wańkowicza czy „Polska jesień" Jana Józefa Szczepańskiego – nie sposób czytać bez wzruszenia.

Odrodzona Polska nie obroniła swojej niepodległości. Pytanie, dlaczego tak się stało, będzie zawsze dręczyło Polaków. Jak twierdzi Krzysztof Kloc w swoim świetnym, pobudzającym do myślenia eseju „Sezon na niepodległość": „Polska mogła przetrwać, ale jej historia od niej w pełni nie zależała. Straszna to konstatacja i zarazem przestroga". Niezależnie, jaka by była nasza polityka zagraniczna, los Rzeczpospolitej rozstrzygał się gdzie indziej, nie w Warszawie. Wydaje się, że nawet gdyby „Sowiety nie weszły", Polska nie sprostałaby niemieckiej agresji. Także przed samym Związkiem Sowieckim zapewne nie zdołałaby się obronić. W starciu z dwoma napastnikami szans nie miała, a sojusznicy ostatecznie nas kompletnie zawiedli i zdradzili.

Doceniając czyn niepodległościowy, musimy przy tym pamiętać, że Rzeczpospolita odrodziła się nie w wyniku zwycięskiego powstania narodowego, lecz przede wszystkim dzięki sprzyjającej sytuacji, jaka wytworzyła się w Europie Środkowej pod koniec I wojny światowej. Gdyby w tej wojnie zwyciężyły państwa centralne, zrealizowano by zapewne koncepcję Friedricha Naumanna i Maxa Webera, tworząc z Królestwa Kongresowego kadłubowe państewko, powiązane polityczne i gospodarczo z Niemcami. Gdyby w Rosji nie wybuchła rewolucja bolszewicka, to ona jako sojusznik aliantów decydowałaby o losach Polski. W obu przypadkach nie byłoby Polski niepodległej, lecz podległa, mniej lub bardziej autonomiczna prowincja. Ale i to nie jest pewne. Być może ta autonomia byłaby coraz bardziej ograniczana. Albo też odwrotnie – Polacy byliby w stanie coraz bardziej wybijać się na niepodległość. Tego nie wiemy. Ale „Niepodległej" w 1918 by nie było.

Także w 1989 roku tworzyło się „okno możliwości". Nie można nie doceniać roli Solidarności. Ale to nie Solidarność wywalczyła niepodległość. Inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej także wydobyły się z sowieckiej niewoli, choć nie było w nich tak masowego ruchu antykomunistycznego – „Karta 77" to była garstka ludzi, „pokojowa rewolucja" NRD polegała głównie na ucieczce do Niemiec Zachodnich. Decydująca była znowu zmiana sytuacji międzynarodowej – przede wszystkim kryzys wewnętrzny i potem rozpad Związku Sowieckiego. Po 1989 roku Rosja nie przestała być Rosją, ale przez chwilę z linii Łaby wycofała się poza granicę wschodnią Białorusi. W Europie Środkowej pozostała tylko eksklawa królewiecka. Gdy imperium sowieckie osłabło i cofnęło się daleko na wschód, choć niestety nie za Ural, pojawiło się pytanie, jak uporządkować Europę, przede wszystkim co zrobić z „Zwischeneuropą" – jak kiedyś Niemcy nazywali region Europy Środkowo-Wschodniej zamieszkały przez narody oddzielające ich od Rosji. Teraz – w epoce ogłoszonego przez Fukyamę triumfu liberalizmu – nie można było odmówić tym narodom prawa do samookreślenia i posiadania własnego państwa. Powszechne dążenie do niepodległości wywoływało jednak pewne zdumienie, gdyż w Europie Zachodniej nikt już prawie nie pamiętał o istnieniu przed II wojną światową takich państw jak Litwa czy Estonia, a niepodległość Ukrainy czy Kazachstanu wydawała się fantasmagorią. Na „Zachodzie" chciano demokratyzacji i liberalizacji Związku Sowieckiego, lecz nie jego

> NA „ZACHODZIE" CHCIANO DEMOKRATYZACJI I LIBERALIZACJI ZWIĄZKU SOWIECKIEGO, LECZ NIE JEGO ROZPADU.

eprasa.pl 02de728a82

rozpadu. Był on wielkim zaskoczeniem i wyzwaniem geopolitycznym. Nie chciano powrotu do ładu politycznego opartego na państwach narodowych, na ich rywalizacji. Dużo było obaw, że nastąpi destabilizacja Europy. Wydarzenia w Rumunii czy krwawy rozpad Jugosławii wzmacniały te obawy. Również na Polskę początkowo patrzono bardzo sceptycznie. W świadomości „Zachodu" ciągle żywe były negatywne stereotypy Polski przedwojennej – jako kraju niestabilnego, biednego, rządzonego autorytarnie, wstrząsanego konfliktami z mniejszościami narodowymi, owładniętego nacjonalizmem i antysemityzmem.

Odpowiedzią na te obawy miała być zintegrowana Europa. Utworzenie UE miało zapewnić stabilny ład, który łączyłby narody, nie zniewalając ich. UE miała gwarantować pokój, dobrobyt rozdzielany w miarę równo oraz wolność – narodową i indywidualną. Miała umożliwić współpracę państw w ramach organizacji z instytucjami ponadnarodowymi, lecz o jasno zdefiniowanych, ograniczonych kompetencjach. W żadnym razie nie miała być antynarodowa: służyła osiąganiu wspólnych celów, a państwom miała pozostawiać swobodę i poczucie wolności. Państwa oddawały – jak twierdzono – tylko część swoich uprawnień do wspólnego zasobu, zarządzanego solidarnie, z udziałem wszystkich. Od początku było jednak wiadomo, że niektórzy, ze względu na siłę gospodarki i liczbę ludności, będą mieli w tym zarządzie więcej do powiedzenia. Była to piękna wizja, bardzo przekonująca i wciąż działająca na umysły, zwłaszcza ludzi wykształconych i oświeconych, zawsze gotowych uwierzyć w dobrze brzmiące hasła.

W zaczynającym się drugim ćwierćwieczu XXI wieku konstelacja międzynarodowa w Europie i w ogóle na świecie przestała być dla nas korzystna. Dziś każdy odpowiedzialny polski polityk musi zadawać sobie pytanie, czy zdołamy utrzymać Niepodległą i jak to zrobić.

Rosja odbudowała swoją imperialna pozycję. Znowu jest tuż obok. Co byśmy nie powiedzieli o jej gospodarce, o jej zacofaniu, jest państwem niezwykle groźnym i liczącym się w polityce międzynarodowej bardziej niż Polska. Ani bieda, ani zacofanie nie przeszkadzało Rosji być mocarstwem w XIX wieku. Na pewno wyjdzie z wojny na Ukrainie wzmocniona. To znowu ona będzie współdecydowała o losach kontynentu.

Ale także UE stała się wyzwaniem dla Niepodległej. Zasadnicze decyzje strategiczne podejmowane są w Brukseli – z naszym udziałem, który jednak sprowadza się albo do pełnej rezygnacji zgody, nawet na to, co jest dla nas skrajnie niekorzystne, albo do jałowego, choć widowiskowego, protestu. UE pod hasłem obrony praworządności, a także w związku ze swoją polityką klimatyczną i imigracyjną, wkroczyła z butami do Polski, do naszej polityki wewnętrznej. Ostatnie trzy lata pokazywały wyraźnie, że chodziło o jej władzę w Polsce, nie o prawo i zasady konstytucyjne. Rozwój wydarzeń skłania zatem do smutnej konkluzji, że UE stała się – zwłaszcza od czasu, gdy przewodnicząca KE została Ursula von der Leyen – organizacją polityczną o celach sprzecznych z Niepodległą, a nawet wrogich wobec niej. Prawo unijne i unijne fundusze stały się narzędziami nowej imperialnej polityki, ciągle jeszcze „soft".

10 września 2024 roku, podczas konferencji naukowej „Drogi wyjścia z kryzysu konstytucyjnego" Donald Tusk jasno scharakteryzował warunki brzegowe swojej władzy: – Nie chciałbym, byśmy my, w Polsce, znaleźli się kiedykolwiek w takiej sytuacji, że siła zewnętrzna będzie niezbędna, żeby zagwarantować nasz ład konstytucyjny. Byłaby to tragedia.

PRAWO UNIJNE I UNIJNE FUNDUSZE STAŁY SIĘ NARZĘDZIAMI NOWEJ IMPERIALNEJ POLITYKI, CIĄGLE JESZCZE „SOFT".

Ja dalej będę takie decyzje podejmował z pełną świadomością ryzyka, że nie wszystkie będą odpowiadały kryterium pełnej praworządności.

O jaką siłę mu chodziło? Przecież nie o Rosję i nie o USA. Jedyną siłą troszczącą się o nasz ład konstytucyjny, głęboko zaangażowaną w nasz spór ustrojowy, jest – jak wszyscy wiemy – UE, jej instytucje i jej ośrodki władzy, takie jak Bruksela, Berlin i Paryż. Słowa Tuska świadczą więc, że znowu znajdujemy się w sytuacji, w której gwarantem naszego ustroju jest – przynajmniej potencjalnie – ośrodek zewnętrzny. Tak jak była nim Rosja w latach schyłkowych i Rzeczypospolitej. Tak jak było nim Biuro Polityczne Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Jak pamiętamy, generał Jaruzelski także utrzymywał, że musiał wprowadzić stan wojenny, by nie dopuścić do bezpośredniej ingerencji Związku Sowieckiego. Dziś Tusk daje nam do zrozumienia, że musi siłą, łamiąc prawo, zasady konstytucyjne i zasady przyzwoitości, „przywracać praworządność", na nowo ustanawiać „demokrację liberalną", gdyż inaczej przeprowadzi tę operację ktoś inny. Po 45 latach wróciliśmy do sytuacji, w której rządzący Polską znowu w ten sposób uzasadnia łamanie prawa i ograniczenie wolności i prawa do samostanowienia Polaków. I tylko ci, dla których Niepodległa nie jest wartością, mogą się pocieszać faktem, że tym razem nie chodzi o interwencje zbrojną (w każdym razie jeszcze nie), lecz o zastosowanie środków przymusu i dominacji w postaci instrumentów prawnych i gospodarczych na jeszcze większą skalę niż dotąd.

eprasa.pl 02de728a82

Potrzebny jest MANNERHEIM

Kiedy piszę ten tekst, nie znam jeszcze dalszych losów przymiarek do rozpoczęcia – **tym razem już podobno na poważnie** – pertraktacji dotyczących konfliktu ukraińskiego. Niemniej pewne trendy są widoczne, a z tych trendów można wyprowadzić wnioski.

Piotr Skwieciński

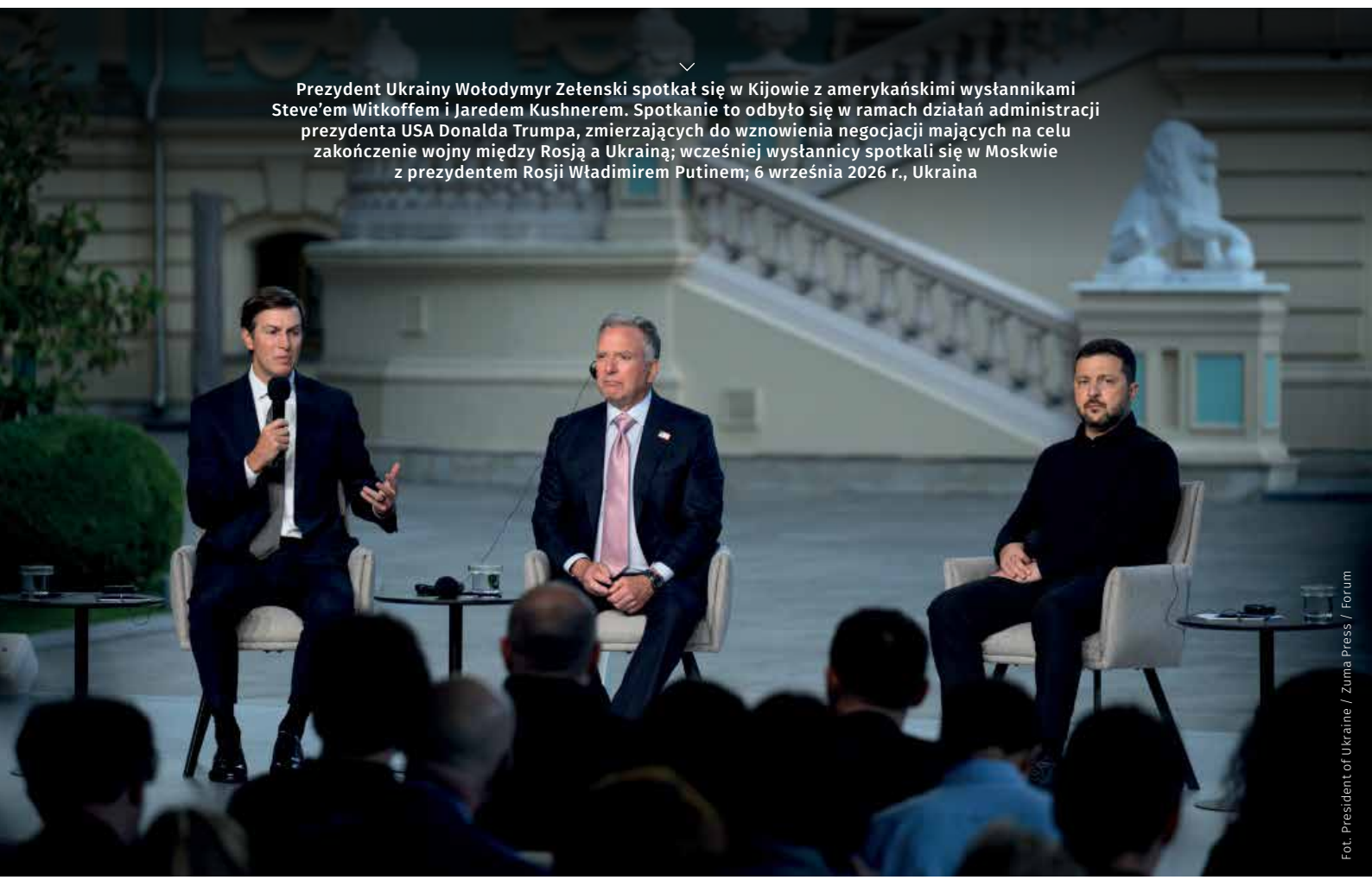

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski spotkał się w Kijowie z amerykańskimi wysłannikami Steve'em Witkoffem i Jaredem Kushnerem. Spotkanie to odbyło się w ramach działań administracji prezydenta USA Donalda Trumpa, zmierzających do wznowienia negocjacji mających na celu zakończenie wojny między Rosją a Ukrainą; wcześniej wysłannicy spotkali się w Moskwie z prezydentem Rosji Władimirem Putinem; 6 września 2026 r., Ukraina

Fot. President of Ukraine / Zuma Press / Forum

eprasa.pl 02de728a82

Przy czym owe trendy są – niestety – dla Polski niekorzystne. Zacznijmy jednak od zreasumowania faktów.

Donbas, czyli obsesja

Wiadomo, że w ciągu ostatnich tygodni zachodnie ośrodki dyplomatyczne przygotowujące pertraktacje zostały zalane falą Rosjan przedstawiających się jako nieformalni emisariusze Kremla. Czynne są też kanały w pełni oficjalne. Wszystkie one wypluwają listy rozmaitych, kierowanych w stronę Zachodu postulatów i żądań, których akceptacja miałaby – podobno otworzyć drogę do pokoju.

Sęk w tym, że te listy różnią się od siebie.

Tytułem przykładu wymieńmy część powtarzających się postulatów.

Jeśli chodzi o samą Ukrainę, jest to przede wszystkim zachowanie przez Rosję okupowanych terytoriów oraz oddanie przez Kijów bronionej dotąd części Donbasu.

Do tego ostatniego Moskwa przywiązuje kardynalne znaczenie. Tajemnicą poliszynela jest fakt, iż sam Putin ma na tym punkcie obsesję.

Wysłannicy Donalda Trumpa, Steve Witkoff i Jared Kushner, wśród multum swoich dziwacznych koncepcji, często zdradzających brak wiedzy o regionie i o przedmiocie negocjacji, wysunęli i taką polegającą na podziale Donbasu nie według obecnej linii frontu, tylko według podziału tego okręgu na rejony (coś w rodzaju naszych powiatów), na zasadzie oddania każdego z nich tej stronie, która kontroluje jego większość. W większości wypadków faworyzowałoby to Rosję, ta jednak z miejsca odrzuciła ten projekt. Donbas w całości, w swoich granicach administracyjnych, ma według Kremla znaleźć się we władzy Rosji. Dla Ukrainy jest to warunek niezwykle trudny – jeśli w ogóle możliwy do przyjęcia – z racji strategicznej wagi donbaskich umocnionych wzgórz blokujących drogę na położone na zachód od nich i ciągnące się aż do Dniepru niziny, znacznie łatwiejsze do zdobywania.

Witkoff i Kushner próbowali uczynić to ustępstwo strawniejszym dla Kijowa poprzez pozyskanie zgody Rosji, w wypadku aprobaty Ukrainy na taką ofiarę, na wejście tego kraju do NATO. Ale oczywiście zgody nie uzyskali; wyrzeczenie się przez Kijów perspektywy akcesji do Sojuszu i „wiążące" zobowiązanie się NATO do nierozszerzania się na wschód (i nieprowadzenia żadnej działalności na przestrzeni poradzieckiej poza krajami bałtyckimi) jest kolejnym twardym warunkiem Moskwy.

Co w zamian?

Oficjalnie nic. Nieoficjalnie – żadna z przekazanych na Zachód wersji warunków nie mówi nic o – na równi z Donbasem ogłoszonym przez Moskwę częścią Rosji – nieokupowanych obszarach obwodów chersońskiego i zaporoskiego wraz z ich stolicami. W czasie tegorocznego posiedzenia Klubu Wałdajskiego Putin mówił wiele o Donbasie, nie zająknął się natomiast ani słowem o Chersoniu i Zaporożu. Również analiza rosyjskich decyzji militarnych z dotychczasowego okresu wojny wykazuje, że kiedy Rosjanie odnosili jakiś sukces i stawali przed wyborem, czy rozwijać powodzenie na kierunkach donbaskich, czy jakichkolwiek innych, zawsze wybierali te pierwsze – co może świadczyć o preferencjach Kremla. W żadnej z wersji przekazanych warunków nie ma też nic o „denazyfikacji" Ukrainy.

Gdyby jakiś „realista" zechciał w tym momencie wybuchnąć radością, to byłaby ona przedwczesna. Rozpowszechniane przez nieoficjalnych wysłanników, a także oficjalnie przekazane Zachodowi, ale jako tzw. non-paper, czyli dokument, którego nie można cytować, żądania rosyjskie można bowiem traktować dwojako. Jako maksymalistyczną listę postulatów, z których część jest tak naprawdę z góry przeznaczona do porzucenia, do pozornych ustępstw w ramach znajdowania rzekomego (tak naprawdę zgodnego z planami Moskwy) kompromisu. Ale też jako swego rodzaju mgłę informacyjną skrywającą rzeczywiste plany. Innymi słowy, w dzień rozpoczęcia prawdziwych negocjacji nagle może się okazać, że z tych „zagubionych" żądań Rosja tak naprawdę wcale nie zrezygnowała.

Z nieobecności wyżej wspomnianych żądań na rosyjskich listach nie należy się cieszyć również dlatego, że pozostały na nich: redukcja armii ukraińskiej, zakazanie jej posiadania określonych kategorii sprzętu oraz przyjmowania dostaw uzbrojenia z Zachodu (czyli pozostawienie Kijowa na łasce Rosji). A także restytucja specjalnego statusu języka rosyjskiego na Ukrainie

> W CZASIE TEGOROCZNEGO POSIEDZENIA KLUBU WAŁDAJSKIEGO PUTIN MÓWIŁ WIELE O DONBASIE, NIE ZAJĄKNĄŁ SIĘ NATOMIAST ANI SŁOWEM O CHERSONIU I ZAPOROŻU.

eprasa.pl 02de728a82

(co miałoby służyć jej rerusyfikacji; zapisana w traktacie dawałaby Moskwie formalną możliwość ingerowania w wewnętrzne sprawy państwa naddnieprzańskiego). Taką możliwość dawałoby też postulowane przekształcenie Mołdawii w federację, której członami byłyby separatystyczne, kontrolowane przez Moskwę Naddniestrze oraz prorosyjska Gagauzja. Ukraina mogłaby wstąpić do UE – ale nie do jakichkolwiek wojskowych struktur europejskich. Miałaby też zdemilitaryzować porty, czyli de facto zrezygnować z utrzymywania floty.

Co jednak dla nas najważniejsze – miałaby zostać przebudowana tzw. architektura bezpieczeństwa już nie tylko Ukrainy, lecz także Europy. NATO miałoby w jakiejś formie zostać cofnięte do granic Sojuszu z okresu sprzed jego rozszerzenia o m.in. Polskę (co – traktowane dosłownie – musiałoby oznaczać wycofanie z naszego kraju, państw bałtyckich i Rumunii oddziałów sojuszniczych, a także z utrzymywania infrastruktury, dzięki której w razie czego mogłyby one szybko powrócić i udzielić nam pomocy). Miałyby też nastąpić odstąpienie od porozumień dotyczących „wspólnego użycia broni jądrowej" (program „nuclear sharing", o udział w którym zabiegamy) i rezygnacja Francji i Wielkiej Brytanii z opcji użycia broni jądrowej w celu obrony innych krajów europejskich.

> EUROPA ANGAŻUJE SIĘ W NEGOCJACJE Z ROSJĄ, PONIEWAŻ OBAWIA SIĘ JEJ SZALONEGO ŻĄDANIA, BY COFNĄĆ ROZSZERZENIE NATO I PRZEBUDOWAĆ EUROPEJSKIE STRUKTURY BEZPIECZEŃSTWA ZGODNIE Z OCZEKIWANIAMI MOSKWY.

Jak Kongo i Rwanda...

Niezależnie jednak od konkretnych kształtów potencjalnych porozumień w obszarze bezpieczeństwa europejskiego bardzo złym sygnałem jest już sam fakt, że rozmowy na te tematy w ogóle mają się zacząć, że Zachód w ogóle się na to godzi.

Bo przecież dotychczasowy stan rzeczy Zachodowi, i Polsce zwłaszcza, odpowiadał. Był określany przede wszystkim przez NATO, sojusz z definicji nakierowany na obronę swoich członków przed zagrożeniem ze Wschodu. I tylko owi członkowie decydowali o tym, kogo on obejmował, czy będzie luźniejszy czy bardziej ścisły, jakie środki w celu ochrony wchodzących w jego skład krajów podejmie. Akceptacja rozmów z Rosją o czymkolwiek, co ma dziać się na zachód od linii Bugu, burzy ten stan. I daje Moskwie, nieposiadane przez nią dotąd, możliwości ingerencji w sprawy Zachodu.

Przy czym byłby to proces jednostronnie korzystny dla Kremla. Bo nie słyszymy o ekwiwalentnych zmianach mających zrównoważyć te, które miałyby w myśl postulatów Rosji nastąpić po zachodniej stronie granicy. Nie słyszymy na przykład o demilitaryzacji obszarów przyległych do granic państw NATO czy o unieważnieniu sojuszu rosyjsko-białoruskiego i wyprowadzeniu z Białorusi sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

I Amerykanie zdają się takie perspektywy akceptować. Przy czym mniej ważne jest, dlaczego tak się dzieje. Czy z naiwności? Czy ze względu na zegar tykający Trumpowi, którego nieprzeparte dążenie do zakończenia ukraińskiej wojny i dostania w związku z tym pokojowego Nobla wydaje się autentyczne i potężne, a który ma na to jeszcze tylko maksymalnie dwa lata? Czy dlatego, że team Witkoff & Kushner jest nieodporny na snute przed nim przez Rosjan pokusy osobistego wzbogacenia się na „wielkich, wspaniałych dealach" z Rosją? Tak czy inaczej jest faktem, że Amerykanie to akceptują.

– Ważne jest, aby obie strony [czyli Rosja i Europa – przyp. aut.] bezpośrednio wysłuchały wzajemnych obaw i propozycji, w miarę jak pracujemy nad stabilniejszą i bezpieczniejszą przyszłością Europy – mówił Kushner, i jest to ton często przybierany obecnie przez amerykańskich decydentów. Charakterystyczne jest tu traktowanie Rosji i Europy jako dwóch graczy równie odległych od USA. Trochę tak, jakby obecna administracja próbowała pośredniczyć między – czy ja wiem – Kongiem a Rwandą?

A Europa (czyli przede wszystkim Wielka Brytania, Niemcy i Francja) demonstruje wprawdzie sceptycyzm, ale idzie w to, bo uważa że nie ma wyjścia. – Jednym z powodów, dla których Europa angażuje się w ten proces, jest obawa związana z szalonym żądaniem Rosji, by cofnąć rozszerzenie NATO i przebudować europejskie struktury bezpieczeństwa zgodnie z oczekiwaniami Moskwy

eprasa.pl 02de728a82

– powiedziało dziennikarzom „Politico" dwóch pragnących zachować anonimowość europejskich urzędników. – Istnieje również obawa dotycząca tego, czego tak naprawdę chce strona amerykańska – dodano. Innymi słowy – Europejczycy boją się, że Amerykanie mogą poczynić bilateralne ustępstwa i zostawić Europę samą, wolą więc kontrolować proces poprzez udział w nim.

– Europejczycy, a także Ukraińcy, uczestniczą w tym negocjacyjnym teatrze, w którym muszą pokazywać Amerykanom, że są konstruktywni, aby nie zrazić Trumpa i nie rozdrażnić go – stwierdził jeden z nich. – Chodzi o to, aby w sytuacji, gdy rozmowy zakończą się fiaskiem – jeśli do tego dojdzie – Amerykanie obwinili o to Rosjan, a nie Europę czy Ukrainę – powiedział urzędnik.

Europejczycy, jak się wydaje, liczą przy tym na to, że w trakcie rozmów potrafią – wbrew Rosjanom – narzucić tryb negocjacji, w którym da się wypracować porozumienie w sprawie Ukrainy, pozostawiając kwestie „architektury bezpieczeństwa Europy" do dalszych rozstrzygnięć. Sądzę, że są to nadzieje naiwne, bo Rosjanie dobrze zdają sobie sprawę, że oznaczałoby to, iż te kwestie zostają odłożone na święty nigdy. Chyba że... daleko idące żądania wobec Zachodu są w intencji Kremla z góry przeznaczone na pozorne odpuszczenie, aby zyskać to, na czym Moskwie zależy najbardziej, czyli całkowite oddanie Ukrainy.

Myśleć o rekompensatach

Dla Polski, tak jak sygnalizowałem wyżej, procesy te są bardzo niekorzystne. Wszelka dyskusja o „architekturze bezpieczeństwa" oznacza bowiem osłabianie NATO, na którym nasze bezpieczeństwo realnie polega, oraz stwarzanie mechanizmów dających Moskwie możliwość ingerowania w naszą część kontynentu. Dlatego Warszawa powinna się sprzeciwiać dyskusji o zmianie „architektury bezpieczeństwa".

Powiedziawszy to, trzeba stwierdzić, że – jeśliby zostało to wymuszone – trzeba być gotowym na podjęcie i prowadzenie gry w nowym formacie. W interesie podstawowych polskich interesów. Jednym z nich jest oczywiście zachowanie Ukrainy jako państwa realnie niezależnego od Rosji. Drugim natomiast – niedopuszczenie do zmian „architektury bezpieczeństwa", a jeśli byłoby to przesądzone – zminimalizowanie naszych strat w dziedzinie bezpieczeństwa.

Chodziłoby o to, żeby każda zmiana działająca na naszą niekorzyść była rekompensowana. A zbiór możliwych rekompensat jest spory. Objęcie przez Stany naszego kraju programem wsparcia sił zbrojnych opartym na przykładzie relacji amerykańsko-izraelskich? Niezależny od NATO bilateralny sojusz Polska – USA – w odróżnieniu od artykułu 5 traktatu północnoatlantyckiego przewidujący automatyzm wystąpienia zbrojnego w razie agresji? Analogiczne sojusze z Wielką Brytanią, Francją, Niemcami? Demilitaryzacja Kaliningradu i wycofanie rosyjskich sił zbrojnych z Białorusi?

WSZELKA DYSKUSJA O „ARCHITEKTURZE BEZPIECZEŃSTWA" OZNACZA OSŁABIANIE NATO, NA KTÓRYM NASZE BEZPIECZEŃSTWO REALNIE POLEGA.

Dlatego też jest niezbędne, aby – mimo wszystkich niekomfortowych okoliczności – Polska była od początku obecna w ewentualnych pertraktacjach z Rosją.

Oczywiście dla Polski lepsze niż wszystkie te rekompensaty byłoby trwanie działań wojennych, które codziennie kosztują Rosję ludzi i sprzęt oraz degenerują rosyjską gospodarkę, które więc lepiej niż cokolwiek zabezpieczają nas przed agresją. A jeśliby miały się one skończyć – utrzymanie NATO (i „architektury bezpieczeństwa") w ich obecnym, opartym na założeniu konfrontacji z Rosją, kształcie. Nasza dyplomacja ma tu trudne zadanie, bo trzeba bronić stanu obecnego tak długo, jak się da, mając jednak w pamięci, by zacząć odstępować od „non possumus" w momencie, kiedy jeszcze coś będzie od nas zależało – żeby mieć szansę na zyskanie rekompensat.

***

Przede wszystkim natomiast – Polsce potrzebny jest feldmarszałek Carl Gustaf Emil Mannerheim.

Ten fiński wojskowy i mąż stanu cieszył się ogromnym zaufaniem, co pozwalało mu skutecznie, dopóki się dało, prowadzić obronę kraju. A kiedy się już nie dało – podjąć bardzo trudne decyzje. Decyzje, które były akceptowane, bo wszyscy wiedzieli, że jeśli podejmuje je właśnie Mannerheim – to znaczy, że naprawdę nie ma innego wyjścia i że skutecznie wykorzystał wszystkie możliwości, żeby zyskać takie warunki gorzkiego porozumienia, które byłyby jak najmniej destrukcyjne dla państwa i narodu.

Polsce potrzebny jest na czele Rzeczpospolitej ktoś, o kim – jeśli przyjdzie podejmować takie decyzje – wszyscy będą wiedzieli i komu będą wierzyli, że uczynił to ze względu na egzystencjalny interes kraju, a nie z jakichkolwiek innych powodów.

Ale czy ktokolwiek spełnia te kryteria?

eprasa.pl 02de728a82

STRASZENIE „FASZYZMEM” przestało działać?



Tegoroczny rekordowo liczny Marsz Niepodległości był wydarzeniem tak **spokojnym i pozytywnym**, że mimo tradycyjnych wysiłków części mediów zohydzanie go chyba przestało działać.

Agnieszka Żurek

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 02de728a82

Dziś zazdrości nam cała Europa! – powiedział, podsumowując ogromną frekwencję i świetną atmosferę tegorocznego Marszu Niepodległości, zastępca przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Bartłomiej Mickiewicz, przemawiając na błoniach Stadionu Narodowego.

Nie niszczy się domu, w którym się mieszka

I rzeczywiście, w sieci pojawiło się wiele komentarzy potwierdzających tę tezę. Wystąpił też tradycyjny już rozdźwięk pomiędzy przekazem wielkich agencji medialnych, takich jak Reuters, piszących o groźnych przemarszach nacjonalistów, oraz tym, co mogli na własne oczy zobaczyć zarówno uczestnicy święta oraz internauci oglądający warszawskie obchody 11 listopada za pośrednictwem internetu.

„Bilans Marszu Niepodległości na ulicach Warszawy: 500 000 osób, żaden sklep nie został splądrowany, żaden policjant nie został pobity, żaden samochód nie został spalony. Dziwne dla Francuza” – napisał na portalu X Alexandre Mendel, francuski dziennikarz współpracujący m.in. z „Journal du Dimanche”. „Nie niszczy się domu, w którym się mieszka. Polska jest naszym domem, wspólnym dobrem, pracujemy, mieszkamy, płacimy podatki i kochamy swoją ojczyznę, więc dlaczego mielibyśmy ją niszczyć?” – odpowiedział mu jeden z internautów, dotykając kwestii do niedawna bardzo niepoprawnej politycznie, a obecnie jednak coraz częściej zyskującej zrozumienie także wśród przedstawicieli zachodniego establishmentu polityczno-medialnego. Co to za kwestia? To właśnie to, co przez lata było określane mianem „faszymu”, „ksenofobii” czy „prawicowej dziczy”, a co można określić po prostu mianem przywiązania do własnej tożsamości.

Kilkanaście lat temu, kiedy oddolna inicjatywa Marszu Niepodległości dopiero przedzierała się nie tylko przez absurdy urzędnicze, ale także bariery świadomościowe, wyśmiewanie patriotyzmu było jeszcze dość modne, a czasem wręcz uważane za przejaw dobrego smaku tudzież przynależności do oświeconej klasy europejskiej, różniącej się od tubylczego „motłochu”. Po latach jednak uparte zaklinanie rzeczywistości działa coraz słabiej, a wpływ na to ma przede wszystkim... sama rzeczywistość. Kiedy Marsz Niepodległości ruszał po raz pierwszy i kiedy salony lamentowały co roku, że „faszyzm nie przejdzie”, zachodnia Europa nie doświadczała jeszcze zgubnych skutków polityki „multikulti” w takim stopniu, jak dziś. Choć pamiętam, że już wówczas zdarzało się, że rdzenni mieszkańcy Wielkiej Brytanii czy Włoch potrafili zachwycić się polskim przywiązaniem do narodowej tożsamości i z łezką oku westchnąć na widok morza biało-czerwonych flag, twierdząc, że w ich krajach można byłoby zaobserwować najwyżej podobną liczbę flag LGBT. W upadku mitu straszenia brunatnym faszyzmem, który zajął w propagandzie miejsce czarnej Wołgi, z pewnością dużą rolę odegrały przemiany na rynku medialnym. Obecnie mało który młody człowiek ogląda regularnie telewizję czy korzysta z innych mediów kształtujących w miarę spójny i stały przekaz. Nowoczesne media są o wiele bardziej rozproszone, a co za tym idzie – ich przekaz jest bardziej pluralistyczny. Ci, którzy chcą rzeczywistości nadawać określone narracje polityczne, mają dziś zadanie trudniejsze niż kilkanaście lat temu, bo kontrola mediów społecznościowych jest o wiele trudniejsza niż zarządzanie przekazem telewizyjnym. A i młodzi ludzie są dziś mocno wyczuleni na „ściemy”.

> ***Bądźcie z nami za rok, tutaj jesteście potrzebni. Tutaj macie wartość niezależnie od tego, ile macie pieniędzy, niezależnie, czy ktoś was kochał. Tutaj macie wartość, tutaj jesteście u siebie.***
>
> wicemarszałek Sejmu KRZYSZTOF BOSAK

Afropolak z Zabrza

Nie udał się też podjęty jakiś czas temu przez dzielną „Wyborczą” manewr z „pastowanym kabanem”, czyli próba udowodnienia rasistowskiego charakteru Marszu Niepodległości poprzez przebranie się Jacka Hugona-Badera za czarnoskórego mężczyznę i udanie się 11 listopada na przemarsz Alejami Jerozolimskimi. Nie tylko nikt go wówczas nie pobił, ale wielu uczestników Marszu życzliwie go pozdrawiało, także musiał swój reportaż uczestniczący oprzeć na bliżej nieokreślonym odczuciu unoszącej się w powietrzu atmosfery pogromowej.

Potem było już tylko trudniej, bo na scenę wjechał – i to dosłownie, bo na wózku inwalidzkim – prawdziwy czarnoskóry Polak, Bawer Aondo-Akaa, który nie dość, że ma korzenie afrykańskie, to na dodatek kocha Rzeczpospolitą i wyznaje katolicki system

eprasa.pl 02de728a82

wartości. Koszmar w biały dzień. W tym roku do Bawera dołączył inny czarnoskóry mieszkaniec naszego kraju – Joseph Tinaye Chikango znany jako Józek. W mediach społecznościowych publikuje jako Afropolak. Pochodzi z Zimbabwe, mieszka w Zabrzu. – Przyszedłem na Marsz Niepodległości, bo chcę świętować z Polakami. Uważam, że jako imigrant mieszkający w Polsce powinienem integrować się z innymi ludźmi i chcę czuć to, co czują inni mieszkający w Polsce – mówił 11 listopada. Józek, podobnie jak Bawer, publicznie przyznaje się do swojej wiary katolickiej i to właśnie dzięki temu zakorzenieniu we wspólnej chrześcijańskiej tożsamości, łatwiej mu budować więź z Polakami i traktować nasz kraj jak własny dom.

Polskę jako ojczyznę z wyboru, a nie z urodzenia, pokochał także pochodzący z Australii Hektik Hektor, który mieszka tu już od dziesięciu lat i nigdzie się nie wybiera. „Szczęśliwy Kangur znalazł swoje gniazdo. Kiedy dorastałem w Australii, kraju, który również kocham i za który zawsze będę wdzięczny, moja przesadna wręcz pasja do Polski była zawsze postrzegana jako coś trochę dziwnego... coś, co nie do końca pasowało do otoczenia... Ale... Tutaj, w Polsce... a szczególnie podczas tych «przesadzonych», niesamowitych przejawów polskiej pasji, czuję, że jestem na swoim miejscu! To są moi wariaci i jestem Wam wszystkim bardzo wdzięczny. To my jesteśmy Polską!" – napisał po tegorocznym Marszu Niepodległości.

Patriotyzm leczy z nihilizmu

„W debacie o fali przemocy wśród młodych ludzi coraz częściej wracają słowa: samotność, wyalienowanie, internetowy nihilizm i kryzys wartości. Rzadziej zastanawiamy się, co mogłoby być na nie odpowiedzią. Tymczasem podczas tegorocznego Marszu Niepodległości Krzysztof Bosak wygłosił przemówienie, które warto potraktować poważnie. Nie trzeba być narodowcem, żeby docenić emancypacyjną siłę patriotyzmu" – napisał dr Konstanty Pilawa, wiceprezes Klubu Jagiellońskiego na portalu Klubu.

– Jest jeden fenomen, który wyróżnia Marsz Niepodległości. My tutaj pod biało-czerwoną flagą jesteśmy jedną wspólnotą. Wspólnota narodowa, wspólnota polskich patriotów stojących na straży suwerenności, stojących na straży niepodległości, wiary i tradycji. Ta wspólnota potrzebna jest nie tylko Polsce, ale ta wspólnota potrzebna jest także każdemu pojedynczemu Polakowi. Widzimy, że coraz więcej osób jest wyalienowanych, samotnych, pozbawionych sensu życia, zanurzonych zanadto w internecie, w coraz gorszych treściach, które robią wodę z mózgu. W nihilizmie, w toksycznych ideologiach, pozbawionych wiary w sens własnej egzystencji. Chciałbym się zwrócić do tych wszystkich, którzy dzisiaj są w takim kryzysie wartości, nie wiedzą, po co żyją, czują się nikomu niepotrzebni [...] Bądźcie z nami za rok, tutaj jesteście potrzebni. Tutaj macie wartość niezależnie od tego, ile macie pieniędzy, niezależnie, czy ktoś was kochał. Tutaj macie wartość, tutaj jesteście u siebie. [...] Nie warto zaprzedawać duszy nihilizmowi – powiedział w swoim przemówieniu na Marszu Niepodległości wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak.

Dotknął on niezwykle ważnego problemu – tego, że choć straszeni byliśmy zazwyczaj „demonami nacjonalizmu", to prawdziwym demonem jest właśnie nihilizm, którego zgubne skutki możemy dziś obserwować w wielu społecznościach Zachodu. Dla wielu z nich fakt, że Polakom jeszcze „o coś chodzi", może stanowić punkt zwrotny dla ich osobistego życia i inspirację. Wydaje się, że coś takiego zaczyna się właśnie dziać na wielu płaszczyznach. W sieci można natknąć się na przykład na prowadzone przez obcokrajowców podcasty muzyczne, w których zachwycają się oni pięknem, głębią i majestatem polskich pieśni patriotycznych, takich jak „Rota" czy „Wolność – Te Deum". Komentujący słuchają z zapartym tchem, czasem płaczą, podkreślają swój szacunek dla naszej tradycji, dla ducha walki, niezłomności, przywiązania do wolności i własnej tożsamości. Obcokrajowców „salonowi" krytykować zawsze trudniej, skoro przez lata wmawiali nam, że mamy się na nich wzorować. Pozostaje zatem rzeczywiście to zrobić – skoro Polska bywa na świecie uważana za wspaniały kraj, to może nareszcie sami w to uwierzymy.

> ***Tutaj, w Polsce, a szczególnie podczas tych «przesadzonych», niesamowitych przejawów polskiej pasji, czuję, że jestem na swoim miejscu! To są moi wariaci i jestem Wam wszystkim bardzo wdzięczny. To my jesteśmy Polską!***
>
> **pochodzący z Australii HEKTIK HEKTOR**

eprasa.pl 02de728a82

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Odrzucenie pozorów

Siłowe przejęcie Trybunału Konstytucyjnego pod osłoną nocy oraz kuriozalne posiedzenia „Zgromadzenia Ogólnego" jasno pokazują, że władza nie dba już nawet o pozory. Wystarczy zadać bowiem najprostsze i najbardziej logiczne pytania, by wykazać absurd i sprzeczność działań marionetek premiera Donalda Tuska.

Był czas, kiedy w polskiej polityce przynajmniej starano się zachowywać pozory. Nawet najbardziej kontrowersyjne decyzje ubierano bowiem wówczas w prawnicze uzasadnienia. Można było się z tym nie zgadzać, można było dostrzegać w tych argumentach hipokryzję, ale przynajmniej uznawano, że istnieją granice, których przekroczenie wymaga szczególnego usprawiedliwienia. Chociaż zasada ta nie obowiązuje od trzech lat, to ostatnie wydarzenia wyraźnie pokazują, że władza jedzie na ścianę i dociska pedał gazu.

Trybunał Konstytucyjny, a więc instytucja powołana do rozstrzygania sporów o zgodność prawa z ustawą zasadniczą, stał się polem konfliktu, w którym istotną rolę odgrywa fizyczna kontrola nad budynkiem i dostępem do pomieszczeń. Kolejny już raz okazuje się, że kontrolując aparat wykonawczy państwa, można za jego pomocą rozstrzygać nawet najbardziej fundamentalne spory ustrojowe. W ostateczności postawi się oddział prewencji, by bronił dostępu, prawda?

Problem w tym, że zamiast rozmawiać o sprawach naprawdę ważnych, dotyczących przyszłości, coraz częściej spieramy się o to, kto ma prawo kierować instytucjami, kto może wejść do budynku, a kto dysponuje możliwością wydawania poleceń. Nie jest przypadkiem, że w debacie publicznej coraz częściej pojawiają się takie słowa jak „przejęcie", „odbicie", „blokada" czy „szturm". Słownictwo konfliktu wypiera bowiem język prawa.

Nie ma w tym rzecz jasna przypadku. Koalicja Obywatelska kontynuuje destrukcję państwa. Nie do końca tylko wiadomo w imię czego. Władza zapomina, że prędzej czy później przeminie. W efekcie każdy kolejny rząd będzie mógł powoływać się na działania Donalda Tuska. Problem w tym, że kiedy polityka przyzwyczai nas do rozstrzygania sporów ustrojowych poprzez fakty dokonane, bardzo trudno będzie później powrócić do standardów, które wcześniej uznawano za oczywiste.

Wydarzenia wokół Trybunału Konstytucyjnego są szczególnie niepokojące i to nie tylko ze względu na ich konsekwencje, ale dlatego że pokazują nam, jak bardzo zmienił się charakter sporu politycznego. Coraz częściej można odnieść wrażenie, że politykom zależy już wyłącznie na narzuceniu własnej narracji. A fakty? Te już nie mają właściwie żadnego znaczenia. Na koniec mam tylko mały apel, a właściwie prośbę – proszę za rok nie histeryzować, gdy nowy rząd będzie kroczył przetartą ścieżką. W końcu będzie obowiązywał „stan wyższej konieczności konstytucyjnej", prawda? S

eprasa.pl 02de728a82

KULTURA

Boy, czyli Francja w Polsce

Sto dziesięć lat temu ukazał się pierwszy tom „Biblioteki Boya”. Sto lat temu Tadeusz Żeleński ogłosił „Mózg i płeć”, szkice o pisarzach francuskich. Boy chciał przyswoić Polakom klasykę literatury francuskiej.

Piotr Łopuszański

W przededniu wybuchu I wojny światowej doktor Tadeusz Żeleński miał 40 lat. Medycyna go nie interesowała. Młodość spędził w Krakowie u boku Stanisława Przybyszewskiego, kochał się w jego żonie Dagny, wreszcie zaczął pisać dla kabaretu „Zielony Balonik”. Nagle odkrył w sobie talent literacki. Zadebiutował „Igraszkami kabaretowymi”. Jedni z tekstów kabaretowych się śmiali, inni byli nimi oburzeni. W kabarecie zaczął używać pseudonimu Boy, pod którym w 1913 roku wydał „Słówka”. Dlaczego nazwał się boyem, chłopcem? Czy – jak sam pisał – dlatego, że

Skoro literacka gleba
Tak opornie młodych rodzi,
Młodej Polski Polsce trzeba,
My musimy wciąż być młodzi.

Któż by przypuszczał, że dorosły człowiek, doktor medycyny, będzie pisał frywolne wierszyki „Litania ku czci p.t. Matrony Krakowskiej”, opis niedzieli według Jana Lemańskiego czy „Krakowski jubileusz”, a do tego sprośną „Dziwną przygodę rodziny Połanieckich” – tym razem prozą? Dlatego jako autora wymyślił pan Żeleński Boya, chłopię rodem z Młodej Polski, ze środowiska krakowskiego, chociaż sam urodził się w Warszawie.

Jednocześnie z tekstami dla kabaretu zabrał się za przekłady z francuskiego. Kochał literaturę francuską i chciał ją spolszczyć. Zaczął od Balzaka, któremu pozostał wierny na lata, a w 1934 ogłosił jego biografię. Ukazała się we Lwowie w serii „Wielcy ludzie”. W 1912 roku wydał dzieła Moliera, za co otrzymał order Legii Honorowej. 12 lat później ogłosił monografię o Molierze. Pisał także wstępy do przekładów jego sztuk.

Na swoje tłumaczenia z francuskiego szukał dobrego wydawcy, ale nie znalazł, toteż pierwsze książki wydawał sam. Znane firmy wydawnicze brały jedynie książki na skład. Boy sprzedawał księgarzom nakład lub dawał w komis. Jeden z księgarzy kupił przekład Boya za 500 koron, ale autor musiał dołożyć mu lampę i piecyk, żeby ów się zgodził.



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

eprasa.pl 02de728a82

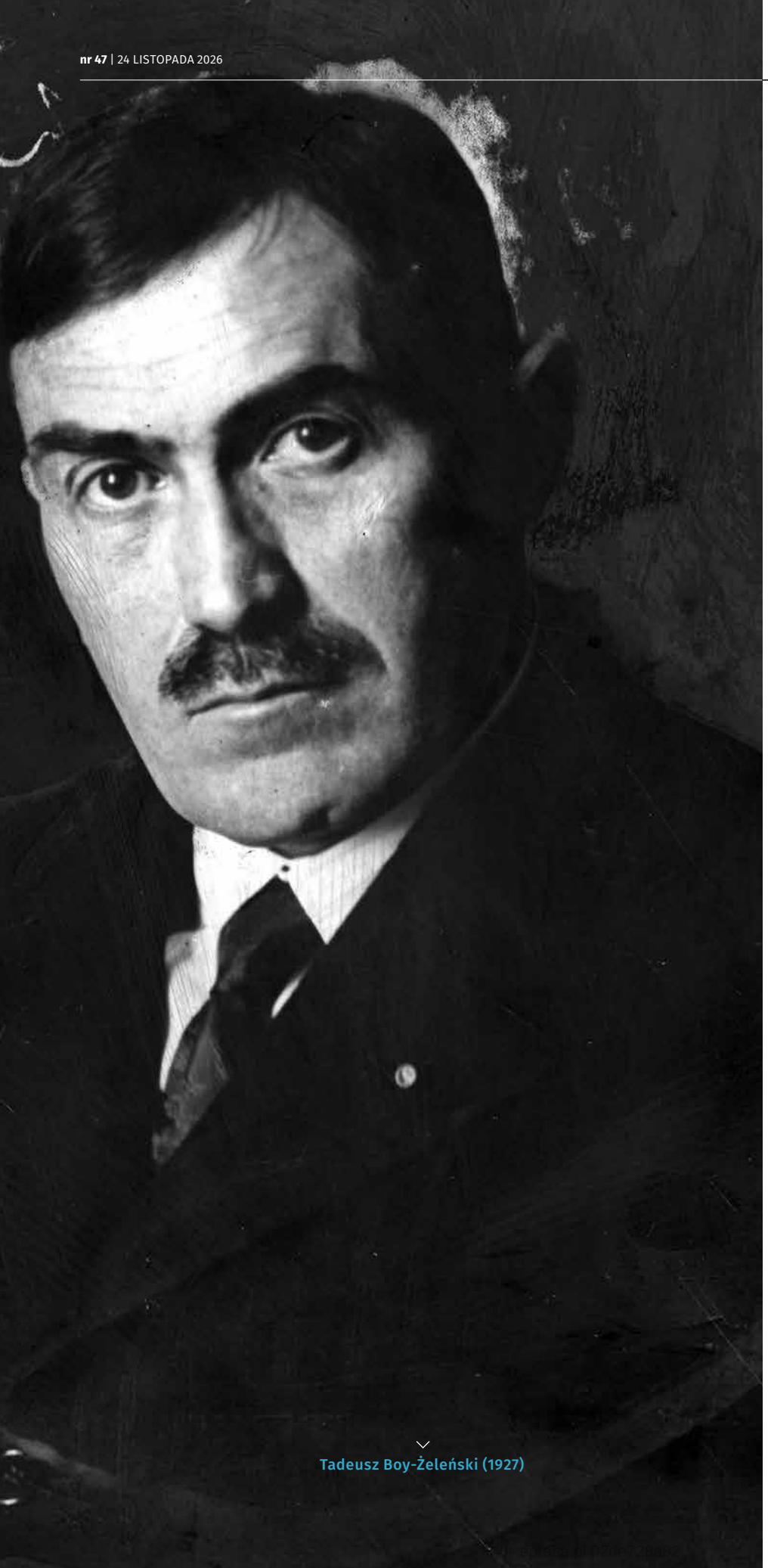

Tadeusz Boy-Żeleński (1927)

Książki Boya można było znaleźć u Połonieckiego we Lwowie i u Krzyżanowskiego w Krakowie. Ukazały się „Żywoty pań swawolnych" Brantôma i „Wyznania" Rousseau, powieści Balzaka i „Niebezpieczne związki" Laclosa, „Myśli" Pascala i „Kubuś Fatalista i jego pan" Diderota. Właściwie Jacques to Jakub, ale Boy zamienił go na Kubusia.

W czasie Wielkiej Wojny doktor Żeleński został powołany do wojska austriackiego. W wolnych chwilach tłumaczył. Chronił się przed okropnościami wojny i cierpienia rannych w zacisze arcydzieł literackich. I pojawili się po polsku Rabelais, Montaigne, Kartezjusz, Monteskiusz. Nie były to dzieła popularne.

W 1916 roku powołał do życia serię „Biblioteka Boya". Jako pierwszy tom ukazała się pierwsza część „Prób" Montaigne'a, renesansowego pisarza-filozofa, który cytując często starożytnych, zastanawiał się, co jest prawdą, jaka jest rola człowieka w czasach zamętu. W 1929 roku ukazał się setny tom owej „Biblioteki". Obliczyłem, że w sumie Boy przetłumaczył około 190 utworów, zarówno lekkich komedii, jak i prac filozoficznych oraz powieści (Musseta, Stendhala, Gautiera oraz wielotomowej „W poszukiwaniu straconego czasu" Prousta).

Ogrom pracy zadziwiał krytykę. Dorobek Boya – tłumacza i autora szkiców sprawił, że jego trud nazywano „benedyktyńskim". Niektórzy publicyści podejrzewali, że Boy to tylko nazwa firmy, że tłumacz zatrudnia „murzynów" do pracy przekładowej. W rzeczywistości tłumaczył sam, potem poprawiał. Korekty wykonywała jego żona, Zofia. Pierwsze tomy tłumacz wydał za własne pieniądze. Żeleński chciał przyswoić Polakom klasyków literatury francuskiej, ale nie tłumaczył Ronsarda, Corneille'a czy Victora Hugo. Wybierał

książki z wieku XVIII, często miernych autorów, jak Crébillon. Nadal tłumaczył kolejne powieści Balzaka z cyklu „Komedii ludzkiej". Marcel Bouteron nazwał Boya jednym z najlepszych balzakistów na świecie.

Dla zwiększenia poczytności „Rozprawy o metodzie" Kartezjusza o sposobach posługiwania się rozumem Boy kazał wydrukować na niej opaskę z napisem: „Tylko dla dorosłych". I jeden ze znajomych tłumacza widział tę książkę u bufetowej z krakowskiej kawiarni Pollera obok „Kultu ciała" Srokowskiego i „Dziennika upadłej kobiety". Ciekawe, o jakiej metodzie myślała owa bufetowa...

Tłumacz wyjaśniał potem, że „istotnie książka ta nadaje się tylko dla dorosłych, ponieważ dla młodzieży jest zbyt poważna". W latach 80. wznowiono ten przekład, ale ze wstępem Krzysztofa Teodora Toeplitza i z opaską: „Tylko dla młodzieży".

Swoje przekłady Boy poprzedzał wstępami poświęconymi autorowi tłumaczonej książki. Z zacięciem popularyzował postacie Pascala, Kartezjusza, pisał o Wolterze i Diderocie, przemilczając ich antypolskie wystąpienia (finansowane przez dwór pruski i rosyjski). Zaufał rzekomej szczerości „Wyznań" Rousseau i powtórzył zmyślenia pisarza o jego życiu. Dopiero 20 lat później sprostował niektóre wiadomości w odrębnym artykule.

Szkice zebrał w książkę w 1920 roku, a dwa lata później wydał „Nowe szkice o literaturze francuskiej". W latach 1926–1928 w wersji uzupełnionej ukazały się w trzech tomach pod tytułem „5 wieków literatury francuskiej (Mózg i płeć)". W tym roku obchodzimy więc stulecie tej książki. Co zaskakujące, nie została ona wznowiona w wersji oryginalnej nigdy. Edycje zmienione ukazały się w latach 1956 i 1957 i potem żaden wydawca po nie do dzisiaj nie sięgnął. Szkoda, bo to najlepsze, co Tadeusz Żeleński napisał.

BOY PRZETŁUMACZYŁ OKOŁO 190 UTWORÓW, ZARÓWNO LEKKICH KOMEDII, JAK I PRAC FILOZOFICZNYCH ORAZ POWIEŚCI.

On sam w „Kurierze Porannym" w 1930 roku wspominał, że ponad 20 lat szukał człowieka, który by został jego współpracownikiem w edycji dzieł literatury francuskiej. Na próżno. „Znajdowałem wielu szkodników, ale pomocników mniej, a i tych na krótką metę".

Boy był tytanem pracy. Oprócz przekładów i szkiców o pisarzach francuskich pisywał dla konserwatywnego krakowskiego „Czasu" recenzje teatralne, potem także felietony na tematy aktualne. Jednakże najbardziej popularną książką Boya były nadal „Słówka", stale wznawiane i poszerzane.

Na fali popularności tych wierszy satyrycznych zaczęto je rozpowszechniać bez zgody autora. Zdarzało się, że w różnych miastach organizowano „Wieczory Boya", gdzie prezentowano teksty z kabaretu „Zielony Balonik" i ze „Słówek". Sam Boy w nich nie uczestniczył, a nawet nic o owych wieczorach nie wiedział i na nich nie zarabiał. Pieniądze szły do kieszeni cwaniaków.

Bywało, że organizowano wieczór autorski Boya-Żeleńskiego. Krzykliwy plakat informował, że w danym mieście odbędzie się takie spotkanie tylko raz. Sprzedawano bilety, a w dniu wieczoru informowano, że niestety Boy nie mógł przyjechać, ale że wystąpi ktoś inny, z reguły lokalny literat. I pieniądze organizatorzy zatrzymywali. Gdy Żeleński ruszył po Polsce z objazdem i naprawdę występował, słyszał czasem w prowincjonalnych miastach, że już jeden taki tutaj był.

MARCEL BOUTERON NAZWAŁ BOYA JEDNYM Z NAJLEPSZYCH BALZAKISTÓW NA ŚWIECIE.

W 1922 roku Boy przeniósł się do Warszawy i podjął współpracę z „Rzeczpospolitą", gazetą konserwatywną, założoną przez Ignacego Jana Paderewskiego. I tu ukazywały się recenzje teatralne i felietony. Redakcja płaciła marnie, więc w 1924 roku Żeleński przeniósł się do konkurencji, do piłsudczykowskiego „Kuriera Porannego". To była także deklaracja zmiany światopoglądu. Żeleński w Warszawie stał się sympatykiem obozu Piłsudskiego, wówczas na „emeryturze" w Sulejówku. Przewrót majowy w 1926 roku Boy przywitał z nadzieją. Uznał, że teraz lepiej się oddycha. I wydał wtedy swoją pierwszą książkę z felietonami, „Brewerie". Właśnie mija 100 lat od jej publikacji. Krytycy nie zauważyli, że w tym samym roku, w którym Piłsudski przejął władzę w Polsce, ukazały się „Brewerie" Boya. Ostatni zaś tom felietonów „Nieco mitologii" wydał w 1935 roku. W maju tego roku zmarł Marszałek Piłsudski. Zatem książki z felietonami Boya ukazywały się za czasów Piłsudskiego. W latach późniejszych Boy nadal pisywał felietony, ale nie zebrał ich już w książkach.

Trudne relacje z wydawcami i księgarzami przyprawiły Boya o chorobę nerwową. Mimo że był pisarzem znanym, wydawcy go naciągali. Często nie chcieli w porę rozliczyć się ze sprzedaży egzemplarzy

eprasa.pl 02de728a82

książek. Boy w 1930 roku pisał: „Walka o uzyskanie «obliczenia» – nie zawsze realnego – a potem o wydobycie należnej sumy to cała epopeja. A im dłużej, im bardziej suma rośnie, tym trudniej ją wydobyć. [...] Nie mówię już o epoce dewaluacji, gdy każde przetrzymanie pieniędzy, niedotrzymanie terminu było prostym wywłaszczeniem". To prawda. Przed 1924 rokiem i reformą Grabskiego, w czasie hiperinflacji, umówione honorarium po kilku miesiącach było warte połowę pierwotnej wartości.

Żeleński nawiązał współpracę z Instytutem Wydawniczym „Biblioteka Polska" (która wydawała między innymi skamandrytów). „Niestety spółka ta okazała się zaporą zamiast pomocą" – pisał w 1926 roku. W ciągu 2 lat wydała 6 tomów, gdy on sam w ciągu 5 miesięcy wydał 4 książki. Rozpoczął więc wydawanie przekładów na własną rękę jako „wydawca mimo woli".

A ponieważ w tym czasie rozpoczął swoje boje o reformę seksualną, wspierał środowiska antyklerykalne, książki nie sprzedawały się dobrze. Podjął współpracę z wydawnictwem „Rój", gdzie ukazało się kilka jego książek z felietonami. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych wydało jego „Balzaka".

Dawni koledzy, Adam Grzymała-Siedlecki, Adolf Nowaczyński, zaczęli go krytykować. Już nie był tytanem pracy, który przyswaja nam klasyków, a pornografem i deprawatorem. Tak w 1927 roku nazwał Boya „Przegląd Katolicki". Anonimowy autor twierdził, że już w czasach kabaretowych Boy przeszczepiał francuską frywolność i perwersyjną lubieżność, oswajał z bezwstydem. Dziś wierszyki z „Zielonego Balonika" wydają się nam zabawne i łagodne. Zarzucano Boyowi, że przełożył „pisma autorów potępionych oficjalnie przez Kościół". W rzeczywistości Żeleński tłumaczył zarówno „Myśli" Pascala i ultrakatolickiego Chateaubrianda, jak i dzieła, które znalazły się na indeksie, np. Woltera.

Najbardziej Boy wzburzył środowiska kościelne, gdy za namową Ireny Krzywickiej ogłosił „Piekło kobiet" i „Naszych okupantów". Stawał się coraz bardziej radykalny. Promował związki homoseksualne i małżeństwa koleżeńskie, atakował swoich dawnych przyjaciół-konserwatystów, Miłaszewskiego, Grzymałę-Siedleckiego. Stał się pieniaczem. Wytoczył proces redakcji „Czasu", która usunęła z felietonu słowo „dziwka". Boje Boya o respektowanie jego praw autorskich stały się sensacją dla prasy. Mnie na początku lat 90. redakcja „Życia Warszawy" usunęła połowę artykułu i nie dochodziłem swoich praw przed sądem.

W 1931 roku Boyowi przytrafiła się następująca przykrość. Oto w pierwszym numerze tajemniczego „Kurjera Stołecznego" przedrukowano (z błędami) obszerny fragment powieści Balzaka w przekładzie Tadeusza Żeleńskiego. Oczywiście bez zgody tłumacza. Boy postanowił dochodzić swojego przed sądem. Musiał jednak podać adres owego redaktora, który nazywał się Leon Klecki. Pod adresem podanym w gazecie nikt o takim nie słyszał. Drukarnia też nic nie wiedziała. Pan Klecki nie zapłacił za pierwszy numer pisma. Poinformowano Boya, że ów Leon Klecki nazywa się Lejba Kapłan. Adresu nie udało się ustalić. Boy musiał wycofać oskarżenie. Redaktor zaś zgarnął pieniądze ze sprzedaży gazety.

Pod koniec lat 30. Żeleński tłumaczył wielotomową powieść Marcela Prousta i pisał szkice na temat jej bohaterów i okoliczności powstania. Miała z tego powstać książka „Proust i jego świat". Nie zdążyła się ukazać przed wybuchem wojny.

PRZEWRÓT MAJOWY W 1926 ROKU BOY PRZYWITAŁ Z NADZIEJĄ. I WYDAŁ SWOJĄ PIERWSZĄ KSIĄŻKĘ Z FELIETONAMI, „BREWERIE". WŁAŚNIE MIJA 100 LAT OD JEJ PUBLIKACJI.

W 1939 roku, po agresji Niemiec, Żeleński opuścił samotnie Warszawę i wyjechał do Lwowa. Dlaczego rozstał się z żoną, która pozostała w stolicy, nie wiadomo. Gdy do Lwowa weszły wojska radzieckie, pozostał w tym mieście. Zarejestrował się jako pisarz, chociaż mógł podawać się za emeryta (miał 65 lat). Jego podpis znalazł się w komunistycznym „Czerwonym Sztandarze" pod artykułem o przyłączeniu dawnych Kresów (zwanych zachodnią Ukrainą) do ZSRR. Boy nawiązał współpracę z tą gadzinówką, potem także z moskiewskimi „Nowymi Widnokręgami" i pisywał tam teksty o pisarzach francuskich (wśród nich byli Anatole France, Gustave Flaubert), o Mickiewiczu i o wrażeniach z Moskwy. „Nowe Widnokręgi" redagowała komunistka Wanda Wasilewska. W zbiorach Biblioteki Narodowej są „Studia i szkice o literaturze francuskiej" Boya podpisane na stronie tytułowej przez Wasilewską. Najwyraźniej ceniła ona Boya.

Współpraca z radzieckimi pismami była formą kolaboracji z okupantem. To już ocierało się o zdradę. W tym czasie Sowieci zesłali tysiące Polaków na Syberię i do Kazachstanu, a Boy pisał o nowych perspektywach w badaniach nad Mickiewiczem. Zamordowani przez NKWD zostali oficerowie wojska polskiego, a Boy jechał do Moskwy i opisywał swoje wrażenia. Nie musiał tego robić. Ostap Ortwin w radzieckim Lwowie zachował się godnie. Ostatni epizod życia Tadeusza Żeleńskiego jest najmroczniejszą kartą w jego biografii. Po latach pozostały z jego dorobku przekłady z literatury francuskiej i niektóre szkice.

eprasa.pl 02de728a82

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

U2 – CARNAVAL DE LUZ
WYD. ISLAND RECORDS



Po dziewięciu latach przerwy U2 wracają z albumem, który przypomina, dlaczego irlandzka formacja od dekad pozostaje jednym z najważniejszych zespołów rockowych świata. „Carnaval De Luz" to dwanaście kompozycji łączących charakterystyczne gitarowe brzmienie The Edge'a z przestrzennymi aranżacjami, elektronicznymi eksperymentami i pełnym emocji wokalem Bono. Na płycie słychać zarówno echa bardziej eksperymentalnego oblicza grupy, jak i zamiłowanie do wielkich, stadionowych melodii. Szczególnie interesująco wypadają „The Greatest Show On Earth", „Glorify" oraz „Midnight Sunshine". Nie brakuje również niespodzianek, w tym współpracy z Rosalíą i poruszającego duetu z Dolly Parton w finałowym „Torn". Produkcją zajął się Jacknife Lee, który zadbał o nowoczesne, ale niepozbawione rockowej energii brzmienie. To album o wolności, przyjaźni i wytrwałości, a zarazem dowód, że U2 wciąż mają coś do powiedzenia.

JAKE BUGG – ALAMO
WYD. THIRTY TIGERS (LOVEBUGG RECORDING)



David Kushner konsekwentnie buduje własny muzyczny świat, w którym alternatywny pop spotyka się z soulową ekspresją, gospelowymi inspiracjami i niepokojącą atmosferą. „Devotion" to czternaście utworów zanurzonych w emocjach, duchowości i skomplikowanych relacjach międzyludzkich. Artysta ponownie udowadnia, że jego największym atutem jest charakterystyczny, głęboki głos, potrafiący przechodzić od niemal intymnego szeptu do imponujących, pełnych napięcia kulminacji. Album otwiera „Ritual", który dobrze wyznacza kierunek całego wydawnictwa. W „I Walk Away" i „Need Someone" Kushner mierzy się z trudnymi doświadczeniami miłosnymi, natomiast „Electrified" wnosi do całości więcej elektronicznej energii. Nie brakuje również subtelniejszych, niemal medytacyjnych momentów, czego przykładem jest zamykający płytę „As I Hold My Breath". „Devotion" to dojrzała, osobista propozycja dla słuchaczy ceniących muzykę, w której emocje są równie ważne jak melodie.

DAVID KUSHNER – DEVOTION
WYD. MISERABLE MUSIC GROUP



David Kushner konsekwentnie buduje własny muzyczny świat, w którym alternatywny pop spotyka się z soulową ekspresją, gospelowymi inspiracjami i niepokojącą atmosferą. „Devotion" to czternaście utworów zanurzonych w emocjach, duchowości i skomplikowanych relacjach międzyludzkich. Artysta ponownie udowadnia, że jego największym atutem jest charakterystyczny, głęboki głos, potrafiący przechodzić od niemal intymnego szeptu do imponujących, pełnych napięcia kulminacji. Album otwiera „Ritual", który dobrze wyznacza kierunek całego wydawnictwa. W „I Walk Away" i „Need Someone" Kushner mierzy się z trudnymi doświadczeniami miłosnymi, natomiast „Electrified" wnosi do całości więcej elektronicznej energii. Nie brakuje również subtelniejszych, niemal medytacyjnych momentów, czego przykładem jest zamykający płytę „As I Hold My Breath". „Devotion" to dojrzała, osobista propozycja dla słuchaczy ceniących muzykę, w której emocje są równie ważne jak melodie.

TRENTEMØLLER – TRENTEMØLLER
WYD. IN MY ROOM



Anders Trentemøller od lat udowadnia, że muzyka elektroniczna nie musi ograniczać się do tanecznych rytmów i klubowych schematów. Na swoim imiennym albumie duński producent rozwija charakterystyczną estetykę, łącząc mroczną elektronikę, shoegaze, post-punk i alternatywnego rocka. Dziesięć kompozycji tworzy spójną, momentami wręcz filmową opowieść, w której niepokojące syntezatory spotykają się z gitarowymi fakturami i wyrazistymi partiami wokalnymi. Szczególnie interesujący jest fakt, że po raz pierwszy w karierze Trentemøllera każdy utwór na albumie zawiera wokal. W realizacji materiału uczestniczyli między innymi Jonas Bjerre z Mew, Sune Rose Wagner z The Raveonettes oraz Anika. „Swerve", „Terrified" i rozbudowane „To Mist" pokazują różne oblicza tej muzycznej podróży. Producent nie rezygnuje z mrocznego klimatu, ale nadaje mu bardziej piosenkową formę. To hipnotyzujący, wielowymiarowy album, który najlepiej smakuje podczas uważnego słuchania.

eprasa.pl 02de728a82

Sebastian Reńca wyróżniony Nagrodą Literacką im. Józefa Mackiewicza

Wieloletni autor i współpracownik „Tygodnika Solidarność" oraz portalu Tysol.pl Sebastian Reńca został wyróżniony prestiżową Nagrodą Literacką im. Józefa Mackiewicza za książkę „Szuler".

Jakub Pacan



Fot. autor

W przeddzień Narodowego Święta Niepodległości odbyła się uroczystość uhonorowania laureatów Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza.

W tegorocznej edycji Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza nominowane zostały następujące książki:

- Szymon Babuchowski, „Popiół i róż", Biblioteka Toposu,
- Wojciech Chmielewski, „Księżyc ma zapach Warszawy", PIW,
- Tomasz Gabiś, „Gry imperialne. Między Imperium Europejskim a Uporządkowaną Anarchią", Ośrodek Myśli Politycznej,
- Sławomir Goworzycki, „Historia Hiszpanii opowiedziana niepoprawnie politycznie", Prohibita,
- rzysztof Kuczkowski, „Głosolalia", PIW,
- Jan Maciejewski, „Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać?", Wydawnictwo Literackie,
- Sebastian Reńca, „Szuler", Arcana,
- Józef Orzeł, „Orle gniazdo", ZonaZero,
- Piotr Szewc, „Było", PIW,
- Waldemar Żyszkiewicz, „Sporo z cynika, nic z despoty", Księgarnia Akademicka.

Kapituła obradowała w składzie: prof. Jacek Bartyzel (przewodniczący), Stanisław Michalkiewicz (sekretarz), prof. Krzysztof Dybciak, prof. Dorota Heck, Wacław Holewiński, prof. Maciej Urbanowski, Paweł Witaszek, Rafał A. Ziemkiewicz.

Sebastian Reńca został wyróżniony statuetką Józefa Mackiewicza za książkę „Szuler".

– „Szuler" to książka, w której widać, że autorowi przyświeca hasło głoszone przez Józefa Mackiewicza, że „jedynie prawda jest ciekawa". Sebastian Reńca – historyk, reporter, prozaik ze sporym już dorobkiem, mierzy się w „Szulerze" z tematem, o którym wydawałoby się, napisano już wszystko, co można. Holocaust i masowa eksterminacja Żydów polskich podczas II wojny światowej. Co jeszcze można dodać do niezliczonych tomów, opracowań esejów książkowych i filmowych fabuł? Okazuje się, że można dodać jeszcze prawdę o czasach, w których się to działo, i ludziach, którzy musieli się z tymi losami zmierzyć. Reńca skupia uwagę na jednej postaci, Mojżeszu Merinie, człowieku więcej niż niejednoznacznym. W pewnym stopniu gangsterze, w pewnym – ofierze – mówił w laudacji Rafał Ziemkiewicz.

Sebastian Reńca zaznaczył, że ta nagroda jest dla niego szczególnym wyróżnieniem, ponieważ twórczość Józefa Mackiewicza towarzyszy mu od ponad 30 lat.

Tytułowy „Szuler" to Mojżesz (Mosze, Moniek) Merin (ur. w 1905 roku w Sosnowcu, zm. w Auschwitz-Birkenau) – przewodniczący Centrali Żydowskich Rad Starszych na Wschodnim Górnym Śląsku (Zentrale der Judischen Altestenrate in Oberschlesien) w czasie okupacji niemieckiej.

„Nie jest to rozprawa naukowa, takie znajdziecie w poważnych opracowaniach historycznych. Moja książka jest reportażem historycznym, bardziej przypomina patchwork, czyli różne historie podzielone na rozdziały, które doczytane do końca dadzą pewien obraz Merinowskiego królestwa i monarchy, o którym Chaim Mołczadzki z Będzina powiedział: «Cokolwiek Merin robi, jest dobre – jest błogosławionym przez Boga przywódcą»" – pisze o swojej książce Sebastian Reńca.

Sebastianie, serdecznie gratulujemy!

eprasa.pl 02de728a82

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Oczy Symeona

Obrazy powstające z inną intencją niż tylko opowieść o własnym ego? Tak, i to się – na szczęście – zdarza.

Niewiele barw, silne emocje, choć wyciszone: ten obraz jest jak zrobione z ręki, bez kadrowania zdjęcie ze śródziemnomorskiego targowiska lub corso, wczesnym rankiem lub blisko zmierzchu (niskie, zgaszone światło). Tabaczkowa, jasnobrązowa nuta (a może cień, w jakim znalazł się ten fragment placu), stroje i sylwetki w palecie beżów i brązów, plecy spieszących przechodniów. Na dalszym, trzecim planie olśniewająco biała plama: kózka, być może prowadzona na ofiarę. Na drugim – starsza kobieta, skupiona, z rozłożonymi rękoma, to może być błogosławieństwo lub zdumienie.

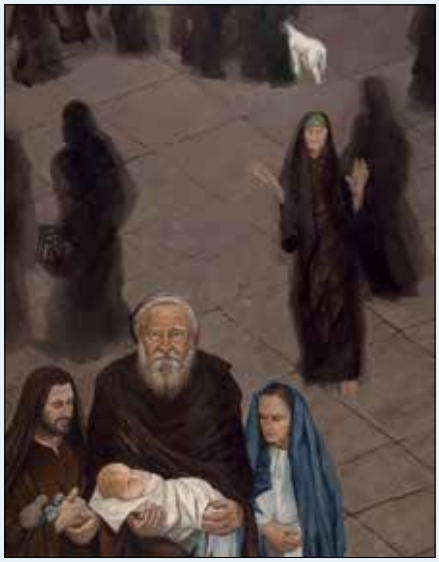

K. Klimek „Ofiarowanie”

Na pierwszym planie młoda para i niemowlę na rękach starca: tu więcej jest bieli (łagodniejszej niż ta koziej sierści), ciemny, matowy błękit chusty. Cztery ludzkie twarze (dorośli – skupieni, dziecko – zamyślone), najważniejsza z nich starca z całą paletą uczuć: namysł, ulga, nadzieja. Migawka z Tunezji all inclusive? Namalowana dla zwiedzających Chorwację turystów scenka rodzajowa „Poranek na targu w Szybeniku”? Nie – to „Ofiarowanie” Krzysztofa Klimka: Jezus na rękach Symeona. Jeden z dwudziestu kilku obrazów, które znalazły się na wystawie pod tym samym tytułem, tegorocznej odsłony projektu „Namalować katolicyzm od nowa”.

To przedsięwzięcie zyskało już sobie prawo obywatelstwa w Polsce, była o nim mowa również na tych łamach: inicjatywa namalowania „od nowa” podjęta została przed kilku laty przez środowisko artystów i intelektualistów przekonanych o palącej potrzebie odrodzenia sztuki sakralnej w Polsce. Ten termin, „potrzeba”, choć nie wprost, odsyła do deficytu, do braku: braku współczesnego malarstwa religijnego, które nie stanowiłoby tylko kopii – bardziej lub mniej udanych – rozwiązań i motywów podsuwanych przez dawnych artystów. Bo przecież większość z tego, co trafia dziś to kościołów, to w najlepszym razie Giotto, w gorszym – aniołek o oczach słodkich jak z bombonierki.

Takie kopiowanie – czasem sprawną ręką, czasem, strach powiedzieć, w trybie mechanicznej reprodukcji – można uznać za świadectwo słabości, wręcz kapitulacji, niczym w antyutopii, której bohaterowie mogą już tylko podziwiać talenty i umiejętności przodków, wzdychając: „Kiedyś to było”. A jednocześnie, no tak, znaczna, by nie powiedzieć dominująca, część współczesnych malarzy podejmuje inne tematy niż prawdy wiary czy szerzej – motywy religijne: najczęściej jest wobec nich obojętna, czasem sięga po wybrane, zakorzenione w kulturze Zachodu motywy czysto mechanicznie jak dziecko sięgające po klocek Lego, niemało jest również parafraz i drwiny, wszystkich tych „tęczowych Maryjek”, których autorzy wyobrażają sobie, że są odważni. – Głośna sztuka albo w ogóle nie odnosi się do chrześcijańskiej, albo jest jawnie antychrześcijańska – powie o tym redaktor naczelny i współtwórca Teologii Politycznej, profesor i dyrektor programowy Instytutu Kultury św. Jana Pawła II na rzymskiej uczelni Angelicum Dariusz Karłowicz.

Inicjatywa, o której mowa, zaprojektowana została z wyjątkowym oddechem: nie rzecz w namawianiu artystów za wszelką cenę do malowania licznych „dzieł pobożnych” – takich płócien nadal znaleźć można niemało u artystów ulicznych albo uznanych, w galeriach i na aukcjach. Formuła „od nowa” zakłada przemyślenie tradycji zachodniej sztuki sakralnej, wypracowanie (za pomocą seminariów, konferencji, debat, pisanych

eprasa.pl 02de728a82

i wydawanych książek) solidnego fundamentu, doprowadzenie do czegoś, co kilka wieków temu wydawało się oczywiste: spotkania malarzy, biblistów i teologów. I – więcej – nadania całej inicjatywie wymiaru wspólnotowego i systematyczności („Każde dzieło potrzebuje porządku i czasu” – to znów Karłowicz). Obrazy dziesiątki artystów powstają w cyklu rocznym (stąd cojesienne wystawy), obrazując rokrocznie jedną z tajemnic Różańca. Czy oznacza to narzucenie ram i kierunku? Owszem. Otamowanie osobowości i stylu? Nie; jak widać rokrocznie (powstały już nowe wizerunki Jezusa Miłosiernego, tajemnicy Zwiastowania, Nawiedzenia oraz Bożego Narodzenia) – nie.

O rozmachu całego przedsięwzięcia, o zamyśle teologicznym, który skłonił do połączenia tematu przewodniego z wizerunkami Matki Bożej Bolesnej, których również powstało dziesięć – mówią kuratorzy, katalog, można o nich posłuchać podczas wykładów i oprowadzań kuratorskich. Słowo więc jeszcze o obrazach – o tym, co można zobaczyć, nawet nie próbując dostrzec w nich prawd wiary (choć ten przekaz, ukryty w gestach i symbolach, jest niesłychanie ważny – i ci, którzy lubią go szukać w namaszczonych tradycją wizerunkach, licząc palce świętych, rozważając cnoty, symbolizowane przez gołębie i pawie, ważąc znaczenie cynobru, nie zawiodą się u świętego Floriana).



B. Stankiewicz „M.B. Bolesna”

W tym roku chyba nie rozczarowało mnie żadne z „płócien mniejszych”, żaden z wizerunków Bolesnej. Wojciech Głogowski – uduchowienie bez wciskania pedału patosu, zachwycająca pozorna prostota szerokich smug: róż pompejański, burgund i szarawa biel na ceglastym, matowym tle. Stanisław Czwartos – siedem kling „przeszywających serce mieczów” złożonych w niepokojącą, okrutną, stalową gwiazdę. Dominikanin Jacek Hajnos – i mała „cierniowa” (choć wygląda jak przycięta łodyga róży) gałązka w dziobie ptaka: ile lat musiało minąć, żebyśmy wrócili do szukania atrybutów? I jeszcze „dodatkowe” płótno Jarosława Modzelewskiego: nigdzie nie zobaczycie takiej ściany karminu, takiej kurtyny, przesłaniającej przyszłe cierpienie. Ale i pojedynczy miecz nad głową Bolesnej w obrazie Bogny Podbielskiej – ile znaczy.

Lecz przede wszystkim – Ofiarowania. Nie zrozumiałem tęczy kolorów na płótnie Podbielskiej, ale przekonała mnie fala światła. U Beaty Stankie-wicz miałem nadzieję na ciepłą biel – i dostałem ją z różem Maryjnej chusty i z intensywnością spojrzeń biegnących między Symeonem, Józefem, Marią i Jezusem, która naprawdę starczy za wiele rozważań (albo raczej – doprowadzi do nich), a już na pewno za wiele wielosłownych „konferencji”. U Grzegorza Wnęka – smuga żółci-żółtozieleni-zieleni i smuga czasu, skoro Symeon i Anna, towarzyszący rodzicom Jezusa, są zupełnie współcześni, „starsi państwo” aż po słabość, swoistość i odrobinę śmieszności, aż po moherowy (zielony!) beret. Ignacy Czwartos: hieratyczność i ołtarz, gotyckie gesty i biel – jak dobrze, że można to oglądać w trybie odnowienia, nie parodii!



W. Głogowski „Ofiarowanie”

I Jacek Hajnos, raz jeszcze – z Symeonem, którego po raz pierwszy naprawdę zobaczyłem, a nie tylko usłyszałem w czytaniu czy częstym cytacie („Nunc dimittis”). Zobaczyłem jego radość – rozjaśniającą twarz, wszystkie jej zmarszczki, zakrzywiającą promień, który wystrzelił stąd do nieskończoności, z widocznej na horyzoncie Stajenki. Drugi Symeon – żarliwy, rozmodlony, zastygły – u Modzelewskiego. Czy to właśnie ten obraz pierwszy trafi do któregoś z kościołów diecezji warszawsko-praskiej.

Biel i karmin, tabaczkowy brąz i róż pompejański, radość i chłodny blask mieczów. O sto kroków od przystanków w alei Solidarności, kebabów, listopadowych wron znad zoo i karetek zajeżdżających pod Szpital Praski można na chwilę zejść w serce światła, w ciszę.

„Ofiarowanie”, Katedra św. Floriana (podziemia) w Warszawie, ul. Floriańska 3, 14 listopada 2026 – 24 stycznia 2027, pon.–sob. 12.00–19.00; ndz. 10.00–20.00, kurator Dariusz Karłowicz.

eprasa.pl 02de728a82

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **24 LISTOPADA** zdarzyło się:

1644 – odsłonięto Kolumnę Zygmunta III Wazy w Warszawie;

1859 – do brytyjskich księgarń trafiło dzieło życia Karola Darwina „O powstawaniu gatunków”;

1947 – w Krakowie rozpoczął się pierwszy proces oświęcimski.

OSKARŻAM...!



Stanisław August Poniatowski, portret autorstwa Marcella Bacciarellego

Fot. Wikimedia Commons

Oskarżam Stanisława Augusta Poniatowskiego herbu Ciołek, syna Stanisława oraz Konstancji z Czartoryskich, urodzonego 17 stycznia 1732 r. w Wołczynie, ostatniego króla Rzeczypospolitej Obojga Narodów, **o zdradę ojczyzny**. Robię to wbrew jego wszystkim poplecznikom i apologetom, byłym i obecnym, ponieważ „król Staś” wciąż ma – o zgrozo – armię obrońców z tytułami naukowymi i bez nich, którzy miast widzieć jego wady, li tylko widzą miraż i powielają naiwne historyjki o dobrym królu, co to w czwartki wyprawiał obiady, w piątki był wielkim mecenasem sztuki, a w pozostałe dni tygodnia chciał dla ojczyzny wszystkiego, co dobre, ino mu nie wyszło.

Sebastian Reńca

eprasa.pl 02de728a82

Me oskarżenie wiąże się z rocznicami, które przypadają na dzień 25 listopada. Otóż tego dnia roku 1764, w dniu imienin rosyjskiej carycy, arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski Władysław Łubieński koronował Stanisława Poniatowskiego na króla Rzeczypospolitej. 31 lat później – w rocznicę swej koronacji – król podpisał w Grodnie akt abdykacji przygotowany zawczasu przez Rosjanina Mikołaja Repnina działającego na rozkaz carycy Katarzyny II.

Romans i zakochanie

Oskarżam króla o to, że był marionetką baby, która władała Rosją. Mówiąc najprościej, Stanisław Poniatowski przez łóżko trafił na tron Rzeczypospolitej. W „wyrku" tym gospodynią była księżna Zofia Fryderyka Augusta, przyszła cesarzowa Wszechrusi Katarzyna II, a wówczas żona wielkiego księcia Piotra Romanowa.

Kochankowie poznali się w Petersburgu, gdy Poniatowski był sekretarzem brytyjskiego ambasadora Charlesa Williamsa, o którym Jerzy Łojek pisał, że był to hulaka, rozpustnik, bluźnierca, pornograf i homoseksualista „czujący miętę" do Stasia. Wszystko wskazuje na to, iż Angol wepchnął Stasia do łóżka osamotnionej i zagubionej na dworze Zosi, by w ten sposób uzyskać coś ku chwale brytyjskiego imperium. Sir Charles liczył na burzliwy romans, a skończyło się na dozgonnym zadurzeniu Poniatowskiego. Kochanków poznał lew salonowy, nomen omen, Lew Naryszkin. A dzień ten na tyle zapadł Zosi w pamięci, że opisała go w swym diariuszu: „Był tam również hrabia Poniatowski. Lew Naryszkin przedstawił go jako jednego ze swoich przyjaciół, poprosił, bym traktowała go łaskawie, i wieczór upłynął bardziej szaleńczo, niż to sobie można wyobrazić. Po około półtorej godziny bez przeszkód, uszczęśliwiona, wróciłam do domu tak, że nikt mnie nie spostrzegł".

Ona zobaczyła w nim nie tylko przystojnego mężczyznę, ale też przedstawiciela świata, który dopiero poznawała, świata Woltera i Monteskiusza. On początkowo widział w niej nie tylko piękną kobietę, ale też przepustkę do salonów. Kończył się rok 1755, a fascynacja przeradzała się w miłość, która rozpalała i jego, i ją. Wraz z Nowym Rokiem rozpoczął się czas, kiedy „jedynym prawie zajęciem Poniatowskiego stały się schadzki z Katarzyną" – pisał Julian Nieć w pracy o młodzieńczych latach Poniatowskiego.

Po sześciu miesiącach trwania burzliwego romansu Poniatowskiego wezwano do Warszawy. W stolicy Poniatowski od razu zaczął myśleć, jak wrócić do swej niemiecko-rosyjskiej (mieszanka wybuchowa) kochanki. Zosia również czyniła ku temu najróżniejsze intrygi. W końcu się udało i w styczniu 1757 r. Poniatowski wrócił do Petersburga, nie tylko w objęcia Zosi, ale też w wir wielkiej polityki. Ona zapisała w swym pamiętniku: „Zimę i początek roku 1857 spędziliśmy tak samo jak zimę poprzednią: takie same były bale, takie same koncerty i takie same koterie".

„KATARZYNA URODZIŁA PONIATOWSKIEMU POTAJEMNIE CÓRKĘ, ZMARŁĄ W NIEMOWLĘCTWIE, A GDY W ROKU 1758 OPUSZCZAŁ PETERSBURG, SZCZERZE GO OPŁAKIWAŁA".

Kolejne miesiące trafnie scharakteryzował historyk Paweł Wieczorkiewicz, pisząc: „Płomienny związek, za wiedzą carewicza, który bez skrupułów mógł poświęcać czas swoim zabawom i kochankom, trwał przez kilka lat. Katarzyna urodziła Poniatowskiemu potajemnie córkę, zmarłą w niemowlęctwie, a gdy w roku 1758 opuszczał Petersburg, szczerze go opłakiwała".

Przez łóżko na tron

Oskarżam króla o to, że to nie on władał na tronie w Warszawie, a Katarzyna II i rosyjscy dyplomaci słani do polskiej stolicy z Petersburga: Nikołaj Repnin, Kasper von Saldern, Otto Magnus von Stackelberg i inni.

Cesarzowa Katarzyna II „Po śmierci Augusta III, króla Polski, poparła kandydaturę dobrze sobie znanego Stanisława Poniatowskiego i doprowadziła do jego elekcji" – pisał Władysław Serczyk. Ona sama tak tłumaczyła swą decyzję: „Ze wszystkich pretendentów ma najmniejsze możliwości otrzymania korony, tak więc w następstwie będzie miał zobowiązania w stosunku do tych, z rąk których ją otrzymał". Otrzymał, a obok stało kilka tysięcy rosyjskiego wojska, bo jak to powiedział Poniatowskiemu rosyjski ambasador Herman Karl von Keyserling: „Jeśli [w Polsce] nie będzie wojsk rosyjskich, to nie będziesz pan królem".

Stanisław Cat Mackiewicz pisał, że Stanisław August „nie tylko zyskał koronę przez kobietę, ale do korony dążył dla kobiety", no i był wdzięczny, trwale wdzięczny.

Rozpoczęła się droga ku upadkowi Rzeczypospolitej. Ostatni jej król przyczynił się do tego nad wyraz. Aleksander Kraushar uważał, że „król tak lichej miary i powagi, jak Stanisław August, w epoce ogólnego rozprzężenia czynników siły i porządku w kraju [...] stanowił główną dźwignię, za pomocą

eprasa.pl 02de728a82

której sąsiednie dwory kierować mogły skutecznie państwo polskie na drogę do przepaści", i miał rację.

Polską rządził nikt inny, tylko rosyjski ambasador Nikołaj Repnin, trzymający „w swej dłoni nici zakulisowych intryg", którymi kierował „przy pomocy sprzedajnych sojuszników". Co się tyczy samego Poniatowskiego, był on tylko „bezwładnym narzędziem w rękach księcia Repnina, aż do stopnia doszczętnego poniżenia nie tylko monarszej, lecz wprost człowieczej godności" – tak o nim pisał Aleksander Kraushar w swym fundamentalnym dziele „Książę Repnin i Polska". To właśnie z tej książki można się dowiedzieć, że Poniatowski co rusz dostawał od carycy premię, chociażby w 1768 r. w wysokości 100 tys. rubli, z uprzejmym od niej pozdrowieniem.

Jak się nazywa otrzymywanie pieniędzy przez polskiego króla z obcego dworu? Nie inaczej jak zdradą, bo płacący – w tym wypadku cesarzowa imperium rosyjskiego nie robiła tego bezinteresownie, tak jak nie wypłacała Poniatowskiemu co miesiąc 12 tys. rubli za piękne oczy, miłe listy i czułe słówka.

Judaszowe srebrniki

Oskarżam króla o to, że jego władza opierała się na rosyjskich bagnetach, kozackich knutach i srebrnikach wypłacanych mu przez Petersburg.

Oczywiście „Stanisław August wykonywał czasami «patriotyczne» ruchy, które co głupsi lub co bardziej nieuczciwi dziejopisowie interpretują jako chęć zrzucenia jarzma rosyjskiego i prowadzenia samodzielnej polityki" – pisał trzy dekady temu na łamach tego pisma Waldemar Łysiak. Naiwniacy piszą więc od dwóch stuleci o ostatnim królu Rzeczypospolitej jako o postaci tragicznej, świetnym dyplomacie, mecenasie kultury i sztuki, architekcie nowoczesności, władcy dążącym do niezależności od Petersburga. Ble, ble, ble – można by skwitować owe dyrdymały.

Prawda była taka, że był zbrodniarzem. Koniec, kropka. Właśnie tak wyraził się o nim jeden z najważniejszych polskich publicystów XX wieku, wspomniany już Cat-Mackiewicz: „Wielkim był Stanisław August jako artysta, małym jako człowiek, zbrodniarzem jako polityk". Świetny historyk Jerzy Łojek dodawał, że Poniatowski z każdym kolejnym tygodniem, miesiącem i rokiem panowania coraz bardziej był zależny od Petersburga, od rosyjskich ambasadorów panujących w Warszawie, od obecności wojsk kochanki nad Wisłą.

„ZE WSZYSTKICH PRETENDENTÓW MA NAJMNIEJSZE MOŻLIWOŚCI OTRZYMANIA KORONY, TAK WIĘC W NASTĘPSTWIE BĘDZIE MIAŁ ZOBOWIĄZANIA W STOSUNKU DO TYCH, Z RĄK KTÓRYCH JĄ OTRZYMAŁ".

Staś pacynka

Oskarżam Stanisława Augusta Poniatowskiego, że był tylko marionetką w grach operacyjnych, które rosyjscy dyplomaci i ich agenci rozgrywali w Polsce. Jedną z takich gier był „zamach" konfederatów barskich na życie Stanisława Poniatowskiego. Konfederaci byli tymi, którzy sprzeciwiali się panoszeniu Rosjan w kraju nad Wisłą i gdyby nie rosyjskie sołdactwo, osiągnęliby sukces. Konfederaci byli tak zdesperowani, że 3 listopada 1771 r. porwali króla, ale zanim do tego doszło, trzeba cofnąć się jeden dzień...

Tamtej nocy – 2 listopada 1771 r. – król Stanisław August zawitał do sypialni żony hajduka Jerzego Henryka Butzaua. Hajduk, wiedząc, że ktoś przyprawia mu rogi, zaczaił się w ciemnym zaułku zamkowego korytarza na kochanka żony. Gdy absztyfikant wyszedł z sypialni kochanki i zbliżył się do Butzaua, ten ciął go przez głowę szablą. Kaptur zsunął się z głowy Poniatowskiego i Butzau zobaczył, że właśnie podniósł rękę na monarchę, dlatego natychmiast stamtąd uciekł. Kolejnej nocy oficer królewskiej gwardii przybocznej Butzau, jako jedyny z obstawy króla, był tym, który zginął podczas nieudanego porwania Poniatowskiego... Przypadek? Nie, to nie był przypadek.

Konfederaci, porywając Stanisława Augusta Poniatowskiego, chcieli namówić go, by do nich przystąpił lub zrzekł się tronu. Nie mieli zamiaru zabijać króla, ale w ich szeregach znajdowali się szpiedzy carycy, których mocodawcy wpadli na makiaweliczny pomysł, by porwanie wykorzystać w celu zdyskredytowania konfederacji barskiej nie tylko w oczach Polaków, ale również całej Europy. Rana królewska odniesiona z ręki rogacza miała „zalegendować" rzekomy zamysł królobójstwa.

Butzaua zastrzelił rzekomo nawrócony „porywacz" Jan Kuźma vel Kosiński, konfederata, w przeszłości skazany „za przestępstwa gwałtu i napaści", a następnie ocalił króla.

Dzień później w świat poszły relacje o cudownym ocaleniu pomazańca, który uszedł cało z rąk „królobójców", a Kuźma trafił do komfortowej celi, w której choć nikt torturami nie wymuszał na nim zeznań, sypał swych towarzyszy.

W latach 50. XIX stulecia varsavianista Kazimierz Władysław Wóycicki wyjawił, co opowiedział mu ojciec o rozmowie z królewskim chirurgiem, który opatrywał Ponia-

eprasa.pl 02de728a82

towskiego, gdy ten trafił na zamek po nieudanym porwaniu.

– Chirurg, dobrze mi znajomy, zaprzysięgał mi się na duszę, iż rana pokazywała wyraźnie, że nie była świeżą, ale najmniej dniem przedtem zadaną. Objawiłem raz w poufnej gawędce tę wiadomość między dworzanami króla na zamku, to kamerdyner, wziąwszy mnie na stronę, zaklinał, abym nic podobnego w życiu swoim nie powtórzył – relacjonował ojciec Wóycickiego.

PONIATOWSKI BYŁ TYLKO „BEZWŁADNYM NARZĘDZIEM W RĘKACH KSIĘCIA REPNINA, AŻ DO STOPNIA DOSZCZĘTNEGO PONIŻENIA NIE TYLKO MONARSZEJ, LECZ WPROST CZŁOWIECZEJ GODNOŚCI”.

Między innymi ta właśnie intryga osnuta w barwę prawdy spowodowała, że konfederacja barska upadła w roku 1772, tym samym, w którym nastąpił pierwszy rozbiór Polski.

Życzenie rozkazem

Oskarżam króla o to, że „klepnął” pierwszy rozbiór ojczyzny. Nasi sąsiedzi jako legaliści zażądali zwołania Sejmu w celu zatwierdzenia rozczłonkowania Rzeczypospolitej. Gdyby król odmówił przystąpienia do sejmu rozbiorowego, to ten zostałby zerwany. Co by się dalej działo? Nie wiem, ale jedno jest pewne, nasi sprzedajni parlamentarzyści nie podnieśliby łapek za rozbiorem.

Oskarżam króla o to, że przystąpił do konfederacji targowickiej będącej „dzieckiem” rosyjskiej kochanki, zresztą Poniatowski zrobił to na jej żądanie. Książę Józef Poniatowski próbował namówić stryja, by tego nie robił, podsuwał mu nawet pomysł wyjścia z sytuacji, ale król odmówił. Książę Poniatowski bowiem uważał, że należało „bić się do zgonu niż oddychać hańbą”.

Ważniejsze dla króla było życzenie carycy niż los ojczyzny. A ona sama pisała do niego: „Najzdrowsza część tego narodu zawiązała konfederację, aby dopomnieć się o niesłusznie wydarte mu prawa. Obiecałam im wsparcie i udzielę go z całą skutecznością, na jaką moje środki pozwolą. Pochlebiam sobie, że nie będziesz czekał ostatecznej ostateczności, aby skłonić się do moich życzeń, tak stanowczo wypowiedzianych, i przystąpisz niezwłocznie do konfederacji zawiązanej pod moją opieką”.

Oskarżam w końcu króla o to, że niczym sztubak dał się wsadzić do karety i wywieźć z Warszawy do Grodna, gdzie zrzekł się tronu.

A stało się to rok po tym, gdy w listopadzie 1794 r. na warszawskiej Pradze żołdactwo rosyjskie szerzyło mord i pożogę. „Mordowano kobiety i dzieci. Kozacy odrywali od piersi matek niemowlęta i nadziewali na piki lub wrzucali w płomienie. Mordowano na ulicach i w mieszkaniach. Wywlekano ludzi z domów na ulice, aby pastwić się nad nimi w najokrutniejszy sposób i w końcu, po męczarniach, dobić. Żołnierze rosyjscy tak byli krwiożerczy, że zabijali nawet zwierzęta: konie, psy, koty... Jakaś szatańska żądza zniszczenia wszelkiego życia poza własnym opanowała te dzikie hordy” – pisał 130 lat później Bruno Korotyński.

PONIATOWSKI CO RUSZ DOSTAWAŁ OD CARYCY PREMIĘ, CHOCIAŻBY W 1768 R. W WYSOKOŚCI 100 TYS. RUBLI, Z UPRZEJMYM OD NIEJ POZDROWIENIEM.

Oskarżam króla o to, że do końca życia brał rosyjskie pieniądze, zresztą sam o nie skamlał do Petersburga, a mógł zostać – jak wspomniałem – w Warszawie, w której cierpiałby, ale – jak pisał Jerzy Łojek: „Właśnie powinien cierpieć jak najwięcej, zdać się na jak najgorszy los” i dodawał: „W sytuacji, w jakiej się znalazł, wypadało mu tylko modlić się o śmierć na więziennej słomie w lochach Szlisselburga”.

Na koniec oskarżam króla o to, że wspólnie i w porozumieniu z carycą Katarzyną II doprowadził do likwidacji państwa polskiego. W swym pamiętniku Poniatowski napisał: „Mogłem jej złożyć w ofierze to, czego nikt nie posiadał...”. I złożył. Petersburg, a później Moskwa panowały w Rzeczypospolitej przez 200 lat, z krótką przerwą na lata 20. i 30. XX wieku.

Warto dodać, że Rosja ma w swym DNA działania wymierzone przeciwko Polsce. Bo Rosja, wbrew nadziejom różnych „intelektualistów” i polityków, wcale nie pozbyła się totalitarnej i imperialnej skazy po rozpadzie ZSRS, oczywiście, to „intelektualistom” i politykom przez dekady w ogóle nie przeszkadzało, by bratać się z Putinem, robić interesy z Rosją, a sportowcom kopać w piłkę na mistrzostwach organizowanych przez Moskwę albo brać udział w tamtejszej zimowej olimpiadzie.

Żądam na koniec tego oskarżenia, aby nikt i nigdy nie wpadł na pomysł przeniesienia szczątków króla Stanisława Augusta Poniatowskiego na Wawel. Nie zasługuje na to człowiek, który brał pieniądze od Rosji; który wręcz o nie błagał; któremu baba przesłoniła wzrok i pozbawiła myślenia; który w końcu nie miał nawet krzty honoru. „Sapienti sat” – jak mawiali Rzymianie. A głupcy? Oni dalej będą pleść swoje farmazony, wbrew faktom i logice.

eprasa.pl 02de728a82

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

Hanna Szymerska

KIERUNEK: WIELUŃ

Nie tylko początek II wojny światowej. Dlaczego warto odwiedzić Wieluń?

To niepozorne miasteczko w województwie łódzkim (ale bliżej Częstochowy niż Łodzi) liczące około dwudziestu pięciu tysięcy mieszkańców jeszcze nie zostało turystyczną perłą Polski. Zdecydowanie jednak zasługuje na ten tytuł! Choć kojarzy nam się głównie z początkiem II wojny światowej (i o tytuł pierwszego zbombardowanego miasta wielu mieszkańców Wielunia prowadziło gorące dyskusje, na które cała reszta kraju reagowała z wisielczym humorem), ziemia wieluńska ma nam do zaoferowania zdecydowanie więcej historii. Z perspektywy mieszkańców metropolii – na miejscu drogo nie jest. Czego chcieć więcej?

Ziemia wieluńska, ziemia niczyja

Wieluń leży w dziwnym miejscu. Niby był to zabór rosyjski, ale przed wojną granica z Rzeszą przebiegała bardzo blisko Wielunia. Było tu trochę Niemców, trochę Żydów, trochę ewangelików – nawet możemy zwiedzić ich cmentarz, byli też Polacy mówiący swoją gwarą – całkiem nieźle zbadaną głównie za sprawą doktor Honoraty Skoczylas-Stawskiej z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu (pani doktor pochodziła z Dąbrowy koło Wielunia). Za Gierka znalazł się w województwie sieradzkim, a po reformie administracyjnej – w łódzkim. I dla tego miasta transformacja była całkiem łaskawa. Przetrwała wieluńska spółdzielnia dostawców mleka (i dzięki niej sernik w wieluńskich kawiarniach jakoś tak lepiej smakuje), w 1996 roku powstał Wielton, czyli największy polski producent naczep, przyczep i zabudów samochodowych (zaobserwowanych przez autorkę nawet na granicy uzbecko-tadżyckiej). W zasadzie Wieluń mógłby ujść za niczym niewyróżniające się miasteczko. I to właśnie czyni go tak przyjemnym. Jest spokojnie, ale nie w znaczeniu wyludnionego miasta, o którym zapomniała historia i plany infrastrukturalne. Z infrastrukturą nie ma ani tragedii, ani powodu do dumy – dojedziemy PKS-em z Warszawy Zachodniej, Flixbusem, z Krakowa i Częstochowy są busy oraz pociągi, jednak autem jesteśmy najlepiej skomunikowani. Są też śmiałkowie, którzy drogę Wieluń – Częstochowa (około 60 kilometrów) pokonują rowerem. W każdym wypadku – niezależnie, jak się dojedzie – można oddać się lokalnym rozrywkom, które może i nie nadają się na Instagram, ale za to pozwolą odetchnąć. Jest ogród botaniczny, jest park miejski, w którym możemy zobaczyć rzeźbę Wojciecha Siudmaka „Wieczna miłość". Warto przejść się także wzdłuż fragmentów starych murów miejskich i zobaczyć Basztę Męczarnia, w której niegdyś przebywał kat (obecnie obiekt jest udostępniany przez Muzeum Ziemi Wieluńskiej). Miłośnicy architektury XIX-wiecznej mogą poświęcić kilkanaście minut na Ratusz Miejski, naprawdę dobrze odbudowany. A rodzinom z dziećmi w sezonie letnim na pewno do gustu przypadnie duża oferta lodów w oko-

> Wieluń jest **idealnym miastem** na weekend z dala od utartych szlaków. Ma do zaoferowania przede wszystkim spokój i przeciętny-nieprzeciętny charakter.

eprasa.pl 02de728a82

licznych budkach lub lokalnej kawiarnio-pizzerii Eden, w której zjemy pizzę i niebieskie lody o smaku smerfowym. Żaden smerf nie ucierpiał! Nie ucierpi również nasz portfel, gdyż porcje są spore, a ceny niskie. Jest też basen, boisko i całkiem nowoczesny skatepark, więc aktywni też znajdą coś dla siebie.

Rana wojny

Warto odwiedzić Muzeum Ziemi Wieluńskiej, w którym znajdziemy eksponaty poświęcone historii miasta. W okresie jesiennym możemy trafić na wystawę czasową dotyczącą bestialskiego ataku na Wieluń w 1939 roku. Ta rana nigdy się nie zabliźniła. Przed wojną Wieluń liczył około piętnastu tysięcy mieszkańców. Znajdował się w nim szpital powiatowy, była cukiernia, były szkoły, w których uczyli moi prapradziadkowie, oboje nauczyciele. Nie było za to przemysłu zbrojeniowego ani żadnych celów strategicznych. Przed atakiem krążyły pogłoski o rozpoczęciu niemieckiej inwazji, lecz zostały zlekceważone przez większość mieszkańców – większość, ponieważ lokalni Niemcy ruszyli w stronę granicy. Około godziny 4.45 rozpoczęło się bombardowanie. Początkowo mieszkańcy miasta myśleli, że syreny zwiastują ćwiczenia lotnicze, o których chodziła pogłoska. Nie szukali schronienia. Pierwszym celem był szpital wypełniony bezbronnymi chorymi, którzy w popłochu byli wywożeni z gruzów i płomieni. Gdy do mieszkańców Wielunia doszło, jakie piekło planują im zgotować hitlerowcy, zaczęli biec na oślep. Niektórzy dotarli w okolice Sieradza, skąd informacja o bombardowaniu Wielunia szła w świat. Nie wszyscy jednak mieli to „szczęście". Drugiego dnia do miasta wkroczył Wehrmacht, snując propagandę o rzekomych polskich żołnierzach w Wieluniu. Nic takiego się nie działo. W samych pierwszych dniach okupacji zginęło około tysiąca trzystu osób – pod gruzami, w płomieniach, od niemieckich kul w lejach bombowych i zakamarkach ulic. Lokalny felczer mówił o pomocy ponad pięciuset osobom w miasteczku liczącym piętnaście tysięcy mieszkańców. W następnych miesiącach Wieluń był coraz bardziej niszczony. Polacy sprzątali gruz z ulic, Żydzi chowali zmarłych. W pewnym momencie Niemcy zdecydowali o wysadzeniu zabytkowej wieluńskiej fary. Nie tylko ją wysadzono – zniszczeniu uległo około 70% miasta. Dzisiaj o tragedii pamiętają wszyscy. Pamięć historyczna w Wieluniu jest dalej żywa. Co roku 1 września pojawiają się tu przedstawiciele władz państwowych. Organizowane są uroczystości i apele. W tym okresie możemy też udać się na wystawę czasową w Muzeum Ziemi Wieluńskiej poświęconą konkretnie inwazji niemieckiej na to miasto.



Fragment wystawy czasowej w Muzeum Ziemi Wieluńskiej

Ostrzegam – nie jest to wystawa dla dzieci, ale zdecydowanie warto ją zobaczyć.

Ziemia wieluńska – jedyna w swoim rodzaju

O ile złośliwi powiedzą, że wszystko, co w Wieluniu da się znaleźć, jest także w innych miasteczkach, o tyle jest pewien rodzaj budynków na ziemi wieluńskiej, który jest jedyny w swoim rodzaju. Chodzi oczywiście o endemiczne kościoły w stylu wieluńskim. Są to stosunkowo niewielkie obiekty sakralne wykonane z drewna. Ich ściany powstawały z poziomo układanych belek, a następnie były osłaniane drewnianym szalunkiem, co nazywamy konstrukcją zrębową. Co do zasady posiadają prostokątną nawę i węższe prezbiterium zamknięte płasko lub wielobocznie. Bardzo charakterystyczny jest stromy, dosyć wysoki dach tradycyjnie kryty gontem, obejmujący zarówno nawę, jak i prezbiterium. Do tego dochodzą wieżyczki stojące od zachodu; są stosunkowo niewielkie, zazwyczaj słupowe. Ale! Na wyglądzie zewnętrznym się nie kończy. W środku kościółków zobaczymy polichromie i drewniane rzeźby. Przy czym należy mieć na uwadze, że nie są to obiekty otwarte całodobowo. Najlepiej – jeśli nie mamy zamiaru uczestniczyć we Mszy Świętej – udać się bezpośrednio przed Eucharystią lub między nabożeństwami. Z oczywistych powodów zdjęć w trakcie nie robimy. Kościoły w stylu wieluńskim znajdziemy w Gaszynie, Kadłubie, Grębieniu, Łaszeniu Rządowym i wielu innych miejscowościach. Najbardziej znany pozostaje Kościół Świętej Trójcy w Grębieniu wybudowany w XVI wieku z późnogotyckimi dekoracjami, roślinnymi ornamentami i polichromią, zabytek na skalę europejską. Numerem jeden dla autorki jest jednak Kościół Najświętszego Imienia Maryi Panny w Gaszynie z początków XVI wieku, do którego nawet rowerzysta z konieczności (a takim jest sięgająca średnio cztery razy w roku

eprasa.pl 02de728a82



Kościół Najświętszego Imienia Maryi Panny w Gaszynie z początków XVI wieku

po ten środek transportu autorka) dotrze bez problemu z Wielunia. Trasa prowadzi przez pola oraz ulicę Joanny Żubr. Sierżant Żubr była pierwszą kobietą w tej funkcji w historii Polski, uczestniczką wojen napoleońskich oraz autorką wspomnień „Pamiętnik życia Joanny Żubr, dymissyonowaney w randze podporucznika woysk polskich i ozdobioney krzyżem «pro virtute militari»". W swoich pismach uwiecznił ją Wacław Gąsiorowski. Można powiedzieć, że miała naprawdę fascynujący życiorys – zbiegła z Rosji po porażce wojsk francuskich, trafiła do Saksonii, brała udział w siedemnastu bitwach i oblężeniach. Po zakończeniu wypraw napoleońskich wróciła do kraju, by wraz z mężem osiąść w Wieluniu. Zmarła w 1852 roku. Jej grób znajduje się na wieluńskim cmentarzu rzymskokatolickim i został wpisany do Ewidencji grobów weteranów walk o Wolność i Niepodległość Polski prowadzoną przez IPN.

Weekend w Wieluniu?

Jeśli szukasz nieoklepanego kierunku i już wiesz, że łatwiej będzie dojechać z Częstochowy niż z Łodzi (bo nazwy województw potrafią mylić), zapraszam cię na wycieczkę do Wielunia. Wieluń jest idealnym miastem na weekend z dala od utartych szlaków, które ma do zaoferowania przede wszystkim spokój i przeciętny-nieprzeciętny charakter. W dobie mówienia o powrocie do lokalności, mody na ucieczkę z wielkomiejskiego zgiełku i pędu za oryginalnością warto zamienić słowa w czyny. Do tego może wam się przydać lektura. Z pism regionalnych szczególnie poleca się roczniki wieluńskie. Warto także sięgnąć po książkę „Wielopolis" autorstwa lokalnego badacza, polonisty, członka zarządu Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego Jarosława Petrowicza. Jeśli wasz weekend w Wieluniu wypadnie zimą – nic straconego! Na pewno spodoba wam się nasze lodowisko, a wycieczkę rowerową łatwo zastąpić mroźnym rajdem pieszym śladami zabytków sakralnych. Takie prowadziła w czasach swojej pracy moja babcia Barbara, nauczycielka matematyki. I teraz sama będę je promowała wraz z całym pięknem ziemi wieluńskiej.

eprasa.pl 02de728a82

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Dziś zaglądamy do fabryki Ursusa w Warszawie. Na zdjęciu widzimy halę produkcyjną, a w niej kilka charakterystycznych czerwonych ciągników.

Tomek: – To słynny Ursus, przez dziesięciolecia jedna z największych polskich fabryk. Na zdjęciu widać ciągniki modelu 4512 stojące na linii montażowej. Takie maszyny pracowały później w gospodarstwach rolnych w całej Polsce.

– Ma je Pan zresztą na wielu zdjęciach z różnych zakątków Polski.

– Tak, kiedyś widziałem dwa modele – jeden z 1975 roku, a drugi z 1991. Oba jeszcze pracowały w gospodarstwie, choć zdjęcie zrobiłem w 2014 roku.

– Dziś z dawnej potęgi przemysłowej niewiele zostało.

– Niestety. Kiedy patrzę na te ciągniki stojące jeszcze w fabrycznej hali, trudno nie pomyśleć o tysiącach ludzi, którzy przez lata tam pracowali. Ursus był przecież nie tylko marką, ale także symbolem polskiego przemysłu. Dziś pozostały po nim przede wszystkim wspomnienia i takie fotografie.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 02de728a82

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Wystartowało REFERENDUM STRAJKOWE w Biedronce



Fot. T. Gutry

Związkowcy z Solidarności rozpoczęli referendum strajkowe w Biedronce. Głosowanie w formule online potrwa od 16 listopada do 21 grudnia.

– Musimy razem pokazać pracodawcy, że mamy dosyć niskich płac, pracy do późnych godzin nocnych, tego, że pracowników na sklepach jest coraz mniej, a pracy coraz więcej – powiedziała Gabriela Kaim, przewodnicząca Solidarności w Biedronce, w materiale opublikowanym przez śląsko-dąbrowską Solidarność.

Referendum to kolejny etap sporu zbiorowego trwającego od lutego w sieci sklepów należących do Jerónimo Martins.

Solidarność od kilku miesięcy domaga się zwiększenia obsady w sklepach, wyższych wynagrodzeń dla pracowników, stałej obsady kas samoobsługowych, skrócenia otwarcia sklepów do godziny 22, premii frekwencyjnej dla kierowników sklepów i ich zastępców oraz dodatku dla osób pracujących przy ladach mięsnych.

Wynik referendum jeszcze nie jest znany, ale ostatnie doniesienia mogą podziałać mobilizująco na pracowników. Chodzi o informacje, że niektóre sklepy Biedronki mają być otwarte całodobowo od 21 do 23 grudnia, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Firma jeszcze oficjalnie nie potwierdziła tych planów.

– To już naprawdę przesada. Pracodawca musi zrozumieć, że jesteśmy ludźmi, a nie maszynami. Dlatego każdy głos w referendum jest bardzo ważny. Jeśli uda się nam osiągnąć wymaganą przepisami frekwencję, to może wtedy zarząd wreszcie zrozumie, jak duże jest niezadowolenie pracowników – zachęcała przewodnicząca Kaim.

UKŁAD ZBIOROWY DLA SŁUŻBY CYWILNEJ

Korpus Służby Cywilnej to około 120 tysięcy pracowników wykonujących swoje obowiązki w przeszło 1700 urzędach na terenie całego kraju.

Solidarność chciałaby, aby objęto ich ponadzakładowym układem zbiorowym pracy, który zagwarantowałby wszystkim pewne minimalne standardy. W takim układzie można byłoby określić wspólne zasady zlecania i ewidencjonowania nadgodzin, terminy odbierania czasu wolnego, uzgodnić zasady pracy zdalnej czy stworzyć stałe ramy dialogu społecznego.

Do tej pory zawarcie układu w Służbie Cywilnej było prawnie niemożliwe. Zmieniła to jednak ustawa z listopada 2025 roku o układach zbiorowych pracy i porozumieniach zbiorowych.

– W korpusie Służby Cywilnej obowiązują szczególne ograniczenia dotyczące akcji protestacyjnych, w tym zakaz udziału w strajku. Tym bardziej potrzebny jest trwały, instytucjonalny kanał reprezentowania zbiorowych interesów pracowników. Skoro pojawiła się prawna możliwość rokowań, warto

eprasa.pl 02de728a82


Fot. arch. „TS”

„Tymczasowa Komisja Zakładowa NSZZ «S» w TK podjęła jednogłośnie uchwałę o przyjęciu nowych członków do naszej organizacji. Wpływają już kolejne deklaracje członkowskie!”.

Kamil Niedbała, lider Solidarności w Trybunale Konstytucyjnym, x.com, 18 listopada br.

ją wykorzystać – stwierdził Bartłomiej Mickiewicz, wiceszef Komisji Krajowej NSZZ „S”.

POZNAŃSCY URZĘDNICY DOSTANĄ PODWYŻKI

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak podpisał porozumienie ze związkami zawodowymi przyznające podwyżki pracownikom samorządowym.

Zgodnie z dokumentem od stycznia 2027 roku środki na płace wzrosną o 5,5 proc. Pracownicy otrzymają podwyżki nie większe niż 500 zł brutto miesięcznie na etat. Po stronie Solidarności podpis pod porozumieniem złożył Jarosław Lange, przewodniczący wielkopolskiej Solidarności. Obejmie ono zatrudnionych w Urzędzie Miasta, miejskich jednostkach budżetowych, instytucjach kultury i samorządowych zakładach budżetowych.

„To porozumienie jest efektem partnerskich rozmów, wzajemnego zrozumienia i gotowości do kompromisu. Z jednej strony mamy świadomość potrzeb i oczekiwań pracowników, z drugiej – odpowiedzialności za stabilność finansową miasta i realizację jego licznych zadań. Udało nam się znaleźć rozwiązanie, które godzi te dwie perspektywy” – skomentował prezydent Poznania na Facebooku.

NIE DLA FUZJI

Solidarność działająca przy Kujawsko-Pomorskim Centrum Pulmonologii w Bydgoszczy sprzeciwia się połączeniu ich placówki ze szpitalem w Grudziądzu.

Związkowcy argumentują, że Regionalny Szpital Specjalistyczny w Grudziądzu jest zadłużony na ponad 600 milionów złotych, a połączenie go z bydgoskim Centrum Pulmonologii „oznacza drenowanie wypracowanych w Bydgoszczy środków oraz obciążenie majątku bydgoskiego szpitala cudzymi zobowiązaniami”, co może doprowadzić do upadłości lub likwidacji bydgoskiej pulmonologii.

Skarżą się także, że decyzje w tej sprawie zapadają bez konsultacji ze związkami zawodowymi oraz bez rzetelnego biznesplanu, a władze wojewódzkie „forsują fuzję”, całkowicie pomijając propozycję Politechniki Bydgoskiej kształcącej studentów na kierunkach lekarskich: „Włączenie KPCP w struktury uniwersyteckie lub ścisła współpraca z uczelniami to rozwiązanie naturalne gwarantujące zaplecze naukowe, dostęp do badań klinicznych i dopływ kadr bez ryzyka utraty autonomii” – przekonują w petycji, pod którą zbierają podpisy w internecie.

W petycji Solidarność wezwała marszałka województwa do natychmiastowego przerwania prac nad połączeniem placówek oraz ewentualnego rozważenia propozycji bydgoskiej politechniki. „Nie pozwólmy na likwidację wybitnego ośrodka, który od lat ratuje życie pacjentów z całego regionu” – zaapelowali związkowcy.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

27.11.1983 – bł. ks. Jerzy Popiełuszko wypowiada podczas homilii w kościele św. Stanisława Kostki słowa: „Wspominać będziemy o niewinnej śmierci braci naszych górników z kopalni «Wujek», o śmierci braci z Lubina, Nowej Huty i innych miejscowości, o okrucieństwie zbrodni dokonanej na Grzegorzu Przemyku. [...] O więzionych bez wyroków od dwóch lat przywódcach Solidarności i KOR”;

30.11.1984 – rząd PRL wycofuje się z uczestnictwa w Międzynarodowej Organizacji Pracy. Jest to odpowiedź na niekorzystny raport dotyczący sytuacji związków zawodowych w Polsce;

30.11.1988 – Lecha Wałęsa spotkał się w telewizyjnej debacie z szefem OPZZ Alfredem Miodowiczem;

26.11.2003 – kończą się Ogólnopolskie Dni Protestu przeciw polityce rządu SLD – UP, wzięło w nich udział ok. 50 tys. związkowców z całej Polski.

eprasa.pl 02de728a82

Wsparcie „S” dla działań prezydenta

Sytuacja wokół Trybunału Konstytucyjnego oraz **możliwe rozwiązania** kryzysu ustrojowego były głównymi tematami ubiegłotygodniowego nadzwyczajnego posiedzenia Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” z udziałem Zbigniewa Boguckiego, szefa Kancelarii Prezydenta RP. Komisja Krajowa przyjęła stanowisko wspierające działania prezydenta zmierzające do uzdrowienia obecnej sytuacji.

Barbara Michałowska

Sytuacja wokół Trybunału Konstytucyjnego oraz możliwe rozwiązania kryzysu ustrojowego były głównymi tematami ubiegłotygodniowego nadzwyczajnego posiedzenia Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” z udziałem Zbigniewa Boguckiego, szefa Kancelarii Prezydenta RP. Komisja Krajowa przyjęła stanowisko wspierające działania prezydenta zmierzające do uzdrowienia obecnej sytuacji.

Otwierając spotkanie, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Piotr Duda podkreślił znaczenie bieżącej współpracy Związku z Kancelarią Prezydenta Karola Nawrockiego. Zaznaczył, że szczególną rolę odgrywają w niej minister Zbigniew Bogucki, odpowiedzialny za analizę ustaw trafiających do prezydenta, oraz Bogdan Kubiak, społeczny doradca głowy państwa.

– Ta współpraca jest wzorowa – podkreślił Piotr Duda.

Przewodniczący wyjaśnił, że Prezydium Komisji Krajowej wypracowało skuteczny mechanizm przekazywania opinii dotyczących ustaw, które po zakończeniu prac parlamentarnych trafiają na biurko prezydenta. Dzięki temu Solidarność może przedstawiać swoje argumenty dotyczące rozwiązań wpływających na sytuację pracowników i funkcjonowanie polskiej gospodarki.



Fot. M. Żegliński

Minister Zbigniew Bogucki podziękował przedstawicielom Solidarności za dotychczasową współpracę, którą ocenił bardzo pozytywnie. Podkreślił, że opinie Związku są ważnym elementem procesu analizy ustaw i przygotowywania decyzji prezydenta.

„Dotykamy fundamentów ładu konstytucyjnego”

Znaczną część wystąpienia minister Zbigniew Bogucki poświęcił sytuacji politycznej i ustrojowej państwa, ze szczególnym uwzględnieniem wydarzeń wokół Trybunału Konstytucyjnego.

– Dzisiaj dotykamy tak naprawdę fundamentów ustroju prawnego, ładu konstytucyjnego Rzeczypospolitej – mówił minister.

W jego ocenie wydarzenia z nocy z 30 na 31 października, kiedy na teren Trybunału Konstytucyjnego

eprasa.pl 02de728a82

wkroczyła policja, stanowią szczególnie niebezpieczny etap kryzysu. Minister krytycznie odniósł się do działań rządu dotyczących Trybunału. Ostrzegł, że przedłużający się konflikt może doprowadzić do dalszej destabilizacji instytucji państwowych, w tym Sądu Najwyższego, Narodowego Banku Polskiego oraz urzędu Prezydenta RP.

Jednocześnie podkreślał, że odpowiedzią na kryzys nie powinna być eskalacja konfliktu, lecz próba wypracowania porozumienia.

– Nawet na wojnie czasami się rozmawia – zaznaczył Zbigniew Bogucki, tłumacząc, dlaczego Kancelaria Prezydenta podejmuje rozmowy także ze środowiskami politycznymi prezentującymi odmienne stanowiska. Jak wyjaśnił, prezydent Karol Nawrocki chce poszukiwać rozwiązań, które pozwolą przywrócić stabilność instytucjonalną i zapobiegną sytuacji, w której Trybunał Konstytucyjny staje się przedmiotem kolejnych sporów politycznych.

„Trybunał ma być dla Polaków, a nie polityków”

Piotr Duda przypomniał, że Komisja Krajowa już podczas październikowego posiedzenia w Zakopanem przyjęła stanowisko dotyczące sytuacji wokół Trybunału Konstytucyjnego. Związek zdecydował również o aktywnym zaangażowaniu się w obronę instytucji.

Przedstawiciele Solidarności pojawili się przed siedzibą Trybunału, a następnie rozpoczęli regularne dyżury, w których uczestniczą reprezentanci poszczególnych Regionów.

– Trybunał ma być dla Polski, dla Polaków, a nie dla partii politycznych i polityków – podkreślił przewodniczący.

Piotr Duda zadeklarował poparcie dla podejmowanych przez prezydenta prób znalezienia wyjścia z impasu. Zwrócił przy tym uwagę, że Solidarność dysponuje własnymi propozycjami ustrojowymi, do których warto powrócić podczas dyskusji nad ewentualną zmianą konstytucji. Przypomniał projekt konstytucji obywatelskiej opracowany przez NSZZ „Solidarność” w latach dziewięćdziesiątych.

– Po co tworzyć nowy projekt konstytucji, kiedy on już jest? – pytał przewodniczący, zachęcając do skorzystania z dorobku Solidarności. Zadeklarował również gotowość zaangażowania ekspertów Solidarności w prace nad rozwiązaniami konstytucyjnymi.

„Tak samo myślimy”

Minister Zbigniew Bogucki przedstawił członkom Komisji Krajowej informacje dotyczące rozmów prowadzonych z przedstawicielami ugrupowań parlamentarnych. Rozważane rozwiązania mają zmierzać do ograniczenia wpływu bieżących podziałów politycznych na wybór sędziów. Jedną z omawianych koncepcji jest mechanizm wymagający porozumienia różnych ośrodków władzy przy wskazywaniu kandydatów.

> ***Trybunał ma być dla Polski, dla Polaków, a nie dla partii politycznych i polityków.***
>
> **PIOTR DUDA, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „S”**

Zaznaczył, że obecnie nie ma wymaganej większości parlamentarnej do zmiany konstytucji, ale sam fakt rozpoczęcia rozmów na ten temat między ugrupowaniami jest istotny. Zbigniew Bogucki podkreślił, że celem prezydenta jest znalezienie rozwiązania, które nie będzie służyło jednej większości parlamentarnej, lecz zapewni stabilność Trybunału niezależnie od przyszłych wyników wyborów.

– Tak samo myślimy. Solidarność stoi murem za panem prezydentem – podsumował przewodniczący Piotr Duda.

„TK nie może być łupem żadnej partii politycznej"

Pod koniec obrad Komisja Krajowa przyjęła stanowisko, w którym poparła inicjatywę prezydenta na rzecz przywrócenia niezależności i prawidłowego funkcjonowania Trybunału Konstytucyjnego.

„Niezależny Trybunał Konstytucyjny nie jest jedynie elementem ustroju państwa. Jest urzeczywistnieniem postulatów NSZZ «Solidarność» wysuwanych od początku istnienia Związku” – czytamy w stanowisku.

„Popieramy dążenie do takich rozwiązań, które zapewnią Trybunałowi autorytet, niezależność oraz odporność na próby upolitycznienia go przez którąkolwiek większość parlamentarną. Uważamy, że rzeczywista naprawa tej instytucji musi opierać się na poszanowaniu Konstytucji, a nie na zastępowaniu jednych wpływów politycznych innymi” – napisali przedstawiciele Solidarności.

Zaapelowali również do wszystkich sił politycznych o podjęcie odpowiedzialnego dialogu i poparcie rozwiązań, które pozwolą zakończyć kryzys wokół Trybunału Konstytucyjnego, przywrócić zaufanie obywateli do państwa oraz zagwarantować rzeczywistą niezależność tej instytucji.

„Trybunał Konstytucyjny nie może być łupem żadnej partii politycznej” – podkreślili.

eprasa.pl 02de728a82

Zwolnienia w Kruku

Firma windykacyjna Kruk planuje szerokie **zwolnienia grupowe** w Polsce. Pracę może stracić nawet co dziesiąty pracownik. Związkowcy nie kryją zaskoczenia i wskazują na stabilną sytuację finansową Grupy, która po trzech kwartałach miała ponad 750 mln zł zysku.

Marcin Krzeszowiec

Kruk to polska firma windykacyjna z sukcesami na rynku europejskim. Swoją działalność prowadzi w Rumunii, we Włoszech, w Hiszpanii oraz we Francji. Obecnie wycofuje się z rynku czeskiego i słowackiego. Większość inwestycji – 60 proc. – przedsiębiorstwo realizuje za granicą, ale największe przychody z działalności operacyjnej uzyskuje w Polsce. W naszym kraju zatrudnia 1526 pracowników, natomiast w całej Grupie ponad 3,5 tys. osób.

Transformacja Kruka

W najbliższym czasie Kruk zamierza wydać między 2,5 a 3 miliardy złotych na inwestycje. Kilkaset milionów pochłonie trwająca już transformacja technologiczna polegająca na cyfryzacji i elektronizacji procesów w firmie.

W rozmowie z WNP.pl prezes i twórca firmy Piotr Krupa powiedział, że Grupa Kruk przekształca także swoją strukturę, by w ciągu dwóch lat stać się tak zwaną Alternatywną Spółką Inwestycyjną. – Po zakończeniu tych prac na samej górze Grupy Kruk będzie fundusz inwestycyjny ASI, a pod spodem będą spółki operacyjne jako inwestycje i inwestycje w portfele. I tak chcemy zarządzać tą Grupą przez najbliższe parę lat – tłumaczył prezes Krupa.

Teraz jednak polskich pracowników spółki czekają zwolnienia grupowe. Pracę może stracić nawet 10 proc. załogi, to jest około 150 osób. Proces ma ruszyć w styczniu przyszłego roku.

Jako przyczyny zwolnień grupowych Kruk wskazał wyhamowanie tempa inwestycji, zmniejszenie liczby prowadzonych spraw i optymalizację struktury organizacyjnej, a także postępujące procesy automatyzacji i wdrażania nowych technologii.

O zamiarze redukcji zatrudnienia pracodawca poinformował związkowców na początku listopada, obecnie w firmie trwają konsultacje dotyczące warunków odejść.

Negocjacje z pracodawcą

Jak na razie Kruk zaproponował minimalne odprawy przewidziane ustawą, czyli od jednej do trzech miesięcznych pensji w zależności od stażu pracy.



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 02de728a82



Związkowcy liczą jednak na coś więcej. Ich zdaniem w firmie powinien zostać uruchomiony program dobrowolnych odejść, a każdy, kto z niego skorzysta, powinien otrzymać dodatkową pięciomiesięczną odprawę.

Gdyby jednak doszło do typowania pracowników do zwolnień, strona społeczna chciałaby ustalenia jasnych i precyzyjnych kryteriów doboru oraz dodatkowych czteromiesięcznych odpraw dla każdego odchodzącego pracownika.

Związkowcy nie do końca też rozumieją, dlaczego firma zdecydowała się rozstać z tak wieloma osobami i dlaczego dotyczy to polskich pracowników, a nie zagranicznych. Skarżą się, że choć polscy pracownicy zrealizowali swoje cele, to nie dostali w tym roku premii wynikowej z uwagi na słaby wynik w Hiszpanii. Ich zdaniem taka sytuacja jest niesprawiedliwa, a teraz to jeszcze oni mają stanąć w kolejce do zwolnień.

Ponadto Grupa Kapitałowa Kruk po trzech kwartałach 2026 roku miała 753 miliony zł zysku netto – to wprawdzie spadek o 14 procent (124 mln zł) w porównaniu do analogicznego okresu rok wcześniej, ale nadal ogromne pieniądze. W ocenie przedstawicieli pracowników kondycja finansowa firmy jest stabilna i nie uzasadnia zwolnień grupowych.

W ciągu dziewięciu miesięcy tego roku Kruk zmniejszył swoje inwestycje w Polsce o 19 procent, a teraz zamierza przeprowadzić zwolnienia grupowe. O komentarz do planowanej redukcji zatrudnienia zapytaliśmy rzeczniczkę prasową spółki, ale nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

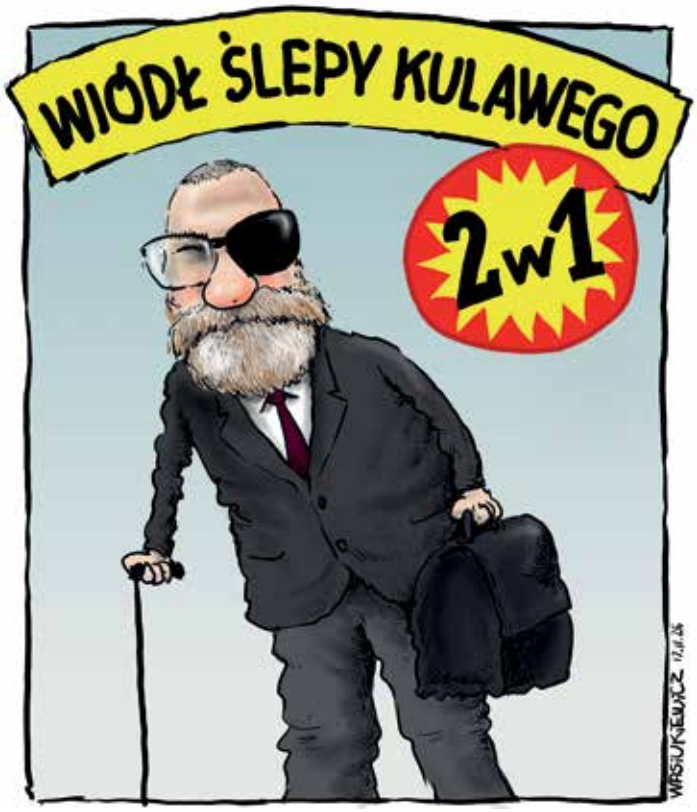

eprasa.pl 02de728a82



GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje:
Cyfrowy paraliż, czyli kto myśli za nas?

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

ŻYJEMY W CZASACH, W KTÓRYCH SMARTFON STAŁ SIĘ GŁÓWNYM OKNEM na świat. Codziennie, niemal bezwiednie, przeglądamy ekrany, chłonąc tysiące informacji, opinii i gotowych recept na życie. Psychologia nazywa to zjawisko przebodźcowaniem informacyjnym, ale jego najgroźniejszy skutek jest znacznie głębszy. Przestajemy analizować to, co widzimy w mediach społecznościowych. Zamiast samodzielnie wyciągać wnioski, przyjmujemy gotowe, podane na tacy emocje. Ten mechanizm bezrefleksyjnego klikania i oceniania świata przez pryzmat internetowych nagłówków przenieśliśmy niestety również na grunt zawodowy.

Algorytmy mediów społecznościowych są skonstruowane tak, by podsycać w nas skrajne emocje: od zachwytu po głęboką wściekłość. Wszystko tam jest czarno-białe, proste i szybkie. Kiedy z tak ukształtowaną psychiką wchodzimy rano do firmy, urzędu czy szkoły, zaczynamy oczekiwać, że rzeczywistość w pracy będzie równie jednoznaczna. Zapominamy, że relacje pracownicze, przepisy prawa i codzienne problemy wymagają czegoś zupełnie innego – krytycznego myślenia, cierpliwości i dialogu.

Zaczynamy oceniać sytuację w zakładzie na podstawie korytarzowych plotek i internetowych opinii, zamiast sprawdzić fakty. Jeśli w sieci modne jest narzekanie na związki zawodowe, wielu z nas bezwiednie powtarza te hasła, myśląc, że to ich własne zdanie. To klasyczna pułapka konformizmu informacyjnego. Wolimy przyjąć gotową, często negatywną narrację, niż zadać sobie trud, wejść do biura komisji zakładowej i zapytać u źródła: „Jak jest naprawdę? Co wywalczyliśmy w tym roku? Jakie mamy realne możliwości?”. Oddajemy prawo do własnego osądu w ręce internetowych algorytmów.

Właśnie na tym gruncie widać, jak bardzo potrzebna jest nam dzisiaj prawdziwa Solidarność. Związek zawodowy to jedno z niewielu miejsc w nowoczesnym świecie pracy, które zmusza do wyjścia z cyfrowej bańki. Tutaj nie ma miejsca na szybkie lajki i powierzchowne oceny. Negocjacje z pracodawcą, walka o regulaminy wynagradzania czy obrona zwalnianego kolegi to procesy skomplikowane, wymagające twardych danych i logicznych argumentów.

Przynależność do Związku uczy samodzielności. Pokazuje, że zamiast biernie przyglądać się rzeczywistości na ekranie telefonu i narzekać w komentarzach, można realnie na nią wpływać. Uczy nas, by nie wierzyć na słowo we wszystko, co podrzuca nam system, ale pytać, analizować i wspólnie szukać rozwiązań. Kiedy zaczynamy myśleć samodzielnie, przestajemy być masą, którą pracodawca może łatwo manipulować za pomocą drobnych obietnic.

Najwyższy czas odzyskać kontrolę nad własnymi opiniami i przestać pozwalać, by internet myślał za nas. Prawdziwe życie, realne problemy i nasza przyszłość zawodowa nie toczą się w sieci – one dzieją się tu i teraz, na Twoim stanowisku pracy.

Zamiast szukać prawdy o relacjach pracowniczych na ekranie smartfona, rozejrzyj się wokół siebie. Zacznij rozmawiać z ludźmi twarzą w twarz, bez pośrednictwa aplikacji. Wyjdź z roli biernego widza i zacznij współdecydować o tym, co dzieje się w Twojej firmie. Stań się częścią organizacji, która myśli i działa samodzielnie. Przyszłość i szacunek buduje się ramię w ramię, w realnym świecie, z otwartą przyłbicą i własnym zdaniem w głowie. S

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 02de728a82

PRAWO

Ile sztuk broni można mieć w domu?

CO NA TO PRAWO?

Po ostatnich tragicznych wydarzeniach w Krakowie zacząłem zastanawiać się nad zasadami posiadania broni palnej w Polsce. Z informacji, które pojawiają się w mediach, wynika, że niektóre osoby mogą posiadać naprawdę dużą liczbę egzemplarzy. **Czy to możliwe, aby jedna osoba legalnie miała kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt sztuk broni?** Czy polskie przepisy określają maksymalną liczbę egzemplarzy, które można posiadać na podstawie pozwolenia? Czy Policja może odmówić wydania pozwolenia na kolejne sztuki, nawet jeżeli ktoś spełnia wszystkie wymagania?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Zasady posiadania broni reguluje ustawa z 21 maja 1999 r. o broni i amunicji. Co do zasady broń palną można posiadać wyłącznie na podstawie pozwolenia wydanego przez właściwy organ Policji. Nie jest to jednak dokument uprawniający do nieograniczonego nabywania dowolnej liczby egzemplarzy. Zgodnie z art. 12 ust. 1 ustawy w decyzji administracyjnej określa się cel, w jakim pozwolenie zostało wydane, oraz rodzaj i liczbę egzemplarzy broni. Oznacza to, że każda osoba posiadająca broń musi mieścić się w zakresie udzielonego jej uprawnienia.

Co istotne, polskie przepisy nie ustanawiają jednego, ogólnego limitu liczby sztuk broni dla wszystkich posiadaczy. Dopuszczalna liczba egzemplarzy zależy od konkretnego pozwolenia oraz jego zakresu. Jedna osoba może posiadać broń do różnych celów, np. sportowych, kolekcjonerskich czy łowieckich, jeżeli spełnia wymagania przewidziane dla poszczególnych kategorii. Nie oznacza to jednak, że uzyskanie pozwolenia automatycznie daje możliwość gromadzenia dowolnej liczby egzemplarzy. Wnioskodawca musi wykazać ważną przyczynę posiadania broni, a organ Policji ocenia zasadność żądanej liczby. W przypadku pozwolenia sportowego znaczenie może mieć zakres uprawianych konkurencji, natomiast przy kolekcjonerskim – charakter i założenia kolekcji.

Nabycie kolejnej sztuki broni wymaga odpowiedniego uprawnienia, a w przypadku broni objętej pozwoleniem również zaświadczenia uprawniającego do jej zakupu. Posia- Sama legitymacja posiadacza broni nie upoważnia do nabywania kolejnych egzemplarzy poza zakresem decyzji. Szczególne znaczenie mają także warunki przechowywania. Broń i amunicję należy zabezpieczyć przed dostępem osób nieuprawnionych zgodnie z wymaganiami określonymi w przepisach. Odpowiedzialność posiadacza nie kończy się więc na uzyskaniu pozwolenia i zarejestrowaniu egzemplarzy. Po krakowskich wydarzeniach pojawiają się również pytania o ewentualne zaostrzenie przepisów, w tym ograniczenie liczby egzemplarzy broni posiadanych przez jedną osobę. Sama tragedia nie oznacza jednak automatycznej zmiany obowiązującego prawa. Każda propozycja wymaga przeprowadzenia odpowiedniej procedury legislacyjnej.

Najważniejsze jest więc to, że legalne posiadanie broni nie oznacza nieograniczonego prawa do jej gromadzenia. Liczba egzemplarzy musi wynikać z zakresu udzielonego pozwolenia, a ich posiadacz odpowiada za przestrzeganie warunków bezpieczeństwa. Dyskusja o dostępie do broni powinna obejmować nie tylko liczbę wydanych pozwoleń, lecz także skuteczność kontroli, sposób przechowywania oraz odpowiedzialność osób, które ją posiadają. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 02de728a82

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Andrzej Gajcy (Tajny..., s. 26), jeden z najbardziej znanych polskich dziennikarzy śledczych. W przeszłości związany z „Rzeczpospolitą" oraz Onetem. Od 2025 roku pisze dla nas. Jego najnowsza książka (napisana razem z Wojciechem Muchą) to „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać". W TV Republika prowadzi „Pierwszą rozmowę dnia".

Piotr Łopuszański (Boy..., s. 50), pisarz i publicysta. Autor książek z literatury faktu i biografii. Współpracuje z „TS" od ponad 20 lat.

Barbara Michałowska (Wsparcie..., s. 68), dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Antoni Opaliński (Demografia..., s. 12), autor podcastów na kanale „Otwarta Konserwa". W przeszłości związany z Radiem Wnet oraz Polskim Radiem. Od 2026 roku publikuje w „Tygodniku Solidarność".

Wojciech Stanisławski (Czytam..., s. 56), historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

Mariusz Staniszewski (Człowiek..., s. 30), autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

PRENUMERATA NA 2027 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 02de728a82



ZBIERAMY PODPISY

pod wnioskiem o referendum w sprawie Zielonego Ładu

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ SOLIDARNOŚĆ

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl 02de728a82

Sala BHP

Morska Fundacja Historyczna

Fundacja Promocji Solidarności

Grupa teatralna Po/między

TAK BYŁO

Spektakl o czasach Solidarności

12 grudnia 2026, godz. 18:00

Sala BHP Stoczni Gdańskiej
ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6

Przed spektaklem możliwość zwiedzenia Sali BHP z przewodnikiem - obowiązują zapisy



eprasa.pl 02de728a82